Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS

● PROGRAM TELEWIZYJNY NA TYDZIEŃ ● Samorząd - widmo klęski ● Sobota w Bogdance ● ZOMO: przerwa w pałowaniu ● W Moskwie i Pradze ● Polacy i Litwini ● Azerbejdżan i Ormianie ● „Sidolówki" z Lublina ● Napad w Chełmskiem ● Jasienica

PL ISSN 0660-8830

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 30. II. 6.12. 1989 R. NR 46 CENA 300 ZŁ

Samorządność bez przymusu ekonomicznego, jaki stawia rynek, jest fikcją

JUGOSŁOWIAŃSKIE OSTRZEŻENIE

Jerzy Węcławski

JESZCZE nie tak dawno koncepcja gospodarki samorządowej jako „trzeciej drogi" — stanowiącej alternatywę zarówno dla rynkowej gospodarki kapitalistycznej, jak i realnego socjalizmu — znajdowała również w naszym kraju licznych zwolenników. Obecnie ruch samorządowy, który pretendował do roli „cichej rewolucji światowej", stracił wiele ze swego image. Stało się to głównie za sprawą Jugosławii, która pretendowała do czołowej roli w tym zakresie.

PO wieloletnich doświadczeniach funkcjonowania gospodarki samorządowej w tym kraju, samorządność przestaje być zaraźliwym przykładem zarówno dla Zachodu, jak i dla Wschodu. Zachód na przykładzie Jugosławii weryfikuje swoją ponownie wysuwaną tezę, że nie może być efektywnego socjalizmu, nawet w samorządowej postaci, a Wschód swoją — że samorządność nie ma perspektywy i stanowi jedynie krótkotrwały eksperyment.

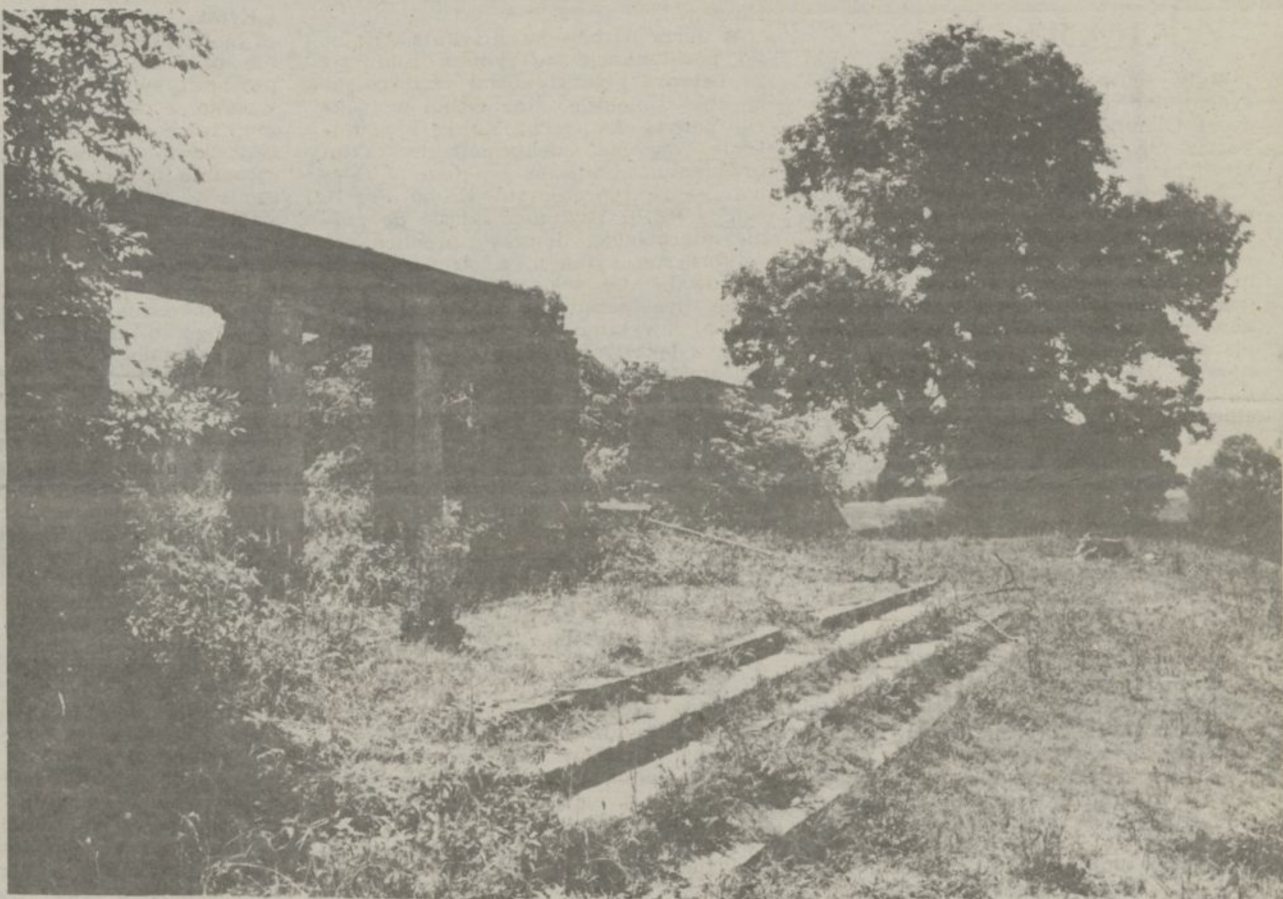
Co sprawiło, że jugosłowiański system samorządowy przeżywa tak ostry kryzys, a być może jest nawet bliski ostatecznego załamania? Udzielenie odpowiedzi na to pytanie wymaga przypomnienia, jak doszło do powstania socjalizmu w wersji samorządowej i jakie są podstawowe rozwiązania zastosowane w tym systemie społeczno-ekonomicznym.

◆

Mija właśnie 40 lat od momentu, gdy narastające stopniowo nieporozumienia między kierownictwami partyjno-państwowymi Jugosławii i ZSRR przerodziły się w otwarty konflikt polityczny. Jego apogeum przypadło na koniec 1949 r., gdy Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych (mające zresztą do 1948 r. swoją siedzibę w Belgradzie) uchwaliło rezolucję, w której stwierdzono, że „kierownicza klika jugosłowiańska" przeszła z pozycji demokracji i socjalizmu na pozycję burżuazyjnego nacjonalizmu i faszyzmu.

Dokonując analizy zaistniałej sytuacji i przyczyn określonej polityki ZSRR wobec innych krajów socjalistycznych, władze jugosłowiańskie doszły do wniosku, że największe zagrożenie dla socjalizmu stanowi biurokratyzm, tj. wyizolowanie się i uniezależnienie aparatu państwowego od społeczeństwa oraz wypaczenia biurokratyczne związane z nadużywaniem władzy przez ten aparat. Prowadzi to do etatyzmu, polegającego na podporządkowaniu społeczeństwa państwu w drodze regulowania całokształtu życia społecznego przez państwo za pomocą środków administracyjnych. Hegemonistyczne tendencje w polityce zagranicznej ZSRR były w ocenie kierownictwa jugosłowiańskiego pochodną „despotycznych rządów biurokracji". Jugosłowianie samokrytycznie uznali przy tym, że podobne zjawiska wystąpiły w ich kra-

Dokończenie na str. 8



Nie da się już chyba uratować dworu w Łysowie na Podlasiu, siedziby Rzążewskich. W okresie 2 XII 1889 r. — 17 VIII 1890 r. mieszkał tutaj i był guwernerem — Stefan Żeromski. Dwór wtedy był własnością Natalii Rzążewskiej, wdowy po literacie. Żeromski opuścił Łysów ze słowami: „Zamknięta księga miłości"... Adam Rzążewski, ps. lit. Aër (1844—85), mąż Natalii, urodził się w Cieleśnicy, kształcił się w Białej Podlaskiej, Lublinie i Warszawie (Szkoła Główna), gospodarzył także na folwarku w Roskoszy, aż wreszcie wylądował w Paryżu, gdzie oddawał się pisaniu opowiadań z życia artystów polskich.

Fot. Waldemar Stępień (1983 r.)

POWRÓT JAŚNIE PAŃSTWA?

Henryk Pająk

TYSIĄCE dworków, dworów i pałaców, z których bezlitośnie, radośnie, z bezprzykładną arogancją i mściwością wyrzucano po wojnie dotychczasowych właścicieli, rozpoczynało wówczas swą osobliwą i równie niespotykaną martyrologię. Rozpoczynał się okres upadku, w znacznej części całkowitej zagłady tych rodzynków architektonicznych, jakimi były dwory i dworki szlacheckie, nierozdzielnie wtopione w pejzaż polskiej wsi czy miasteczka. Parcelacyjne rugi stawały się aktem sprawiedliwości dziejowej — teraz fornale i uciskany lud miał zamieszkać w pałacach, wygrzewać się przed kafelkami holenderskich pieców, stąpać po wymyślnych parkietach i posadzkach; po trudach socjalistycznej pracy na własnej już ziemi napawać się ciszą i chłodem starych parków.

Odchodziła w przeszłość nie tylko klasa społeczna polskich obszarników. Wkrótce miało się okazać, że chodzi tu o zagładę polskiej tradycyjnej wsi, jej odwiecznych więzi i hierarchii, których materialnymi wizerunkami były „pańskie" siedziby.

Rugi nie ominęły również miast i miasteczek. Co znaczniejsze domy, a w wielkich miastach mieszkania zamożnej inteligencji, niemal z dnia na dzień zmieniały mieszkańców. Odbywało się to mniej więcej w ten sposób: do drzwi pukał jakiś kanciasty pitekantropus, kładł na stole pistolet i oznajmiał, że całe mieszkanie jest zajęte, wraz z meblami, na potrzeby tworzącej się władzy. W Lublinie, na przykład, czerwona burżuazja szczególnie upodobała sobie domy i mieszkania przy ulicach Szopena, Lipowej, Wieniawskiej, Jasnej, Cichej, Krakowskim Przedmieściu. Przy ulicy Szopena i Cichej urządzono pierwsze katownie NKWD i UB, ale wciąż brakowało miejsca na ka-

Dokończenie na str. 9

relacje

ZE ŚWIATA

● Premier Tadeusz Mazowiecki przebywał z oficjalną wizytą w Związku Radzieckim. Rozmawiał z Michaiłem Gorbaczowem, Nikołajem Ryżkowem, spotkał się z przedstawicielami mniejszości polskiej w ZSRR, odwiedził Katyń i Smoleńsk. Na konferencji prasowej stwierdził, że rozmowy przebiegały w życzliwej atmosferze, cechował je roboczy charakter i zrozumienie strony radzieckiej dla naszych problemów.

● Zadłużenie Polski wobec ZSRR wynosi 6,6 mld rubli transferowych.

● Do pół miliona osób wzrosła w niedzielę liczba demonstrujących na praskich błoniach. Rząd Ladislava Adamca podał się do dymisji, lecz demonstranci wyrażają poparcie dla jego osoby. Ustąpił również Sekretariat KC KPCz z I sekretarzem Miloszem Jakeszem. Nowym liderem partyjnym został Karel Urbanek. Vaclav Havel, przywódca opozycji demokratycznej, określił te zmiany jako pozorne.

● Danił Granin w opublikowanym w „Moskowskich Nowostiach" „Liście do Pragi" dokonał ostrej krytyki „kliki Breżniewa", która czołgami złamała praską pieriestrojkę z 1968 roku.

● Vaclav Havel otrzymał w Pradze szwedzką Nagrodę Praw Człowieka im. Olofa Palmego.

● I sekretarz KC NSPJ Egon Krenz przebywał w Lipsku. Oświadczył, że NRD nie zamierza odchodzić od socjalizmu oraz że możliwa jest federacja obu państw niemieckich pod warunkiem rozwiązania NATO i Układu Warszawskiego. Nie należy liczyć — powiedział E. Krenz — na rychłe zburzenie muru berlińskiego. Należy się natomiast liczyć z dalszymi zmianami w partii, w tym ze zmianą jej nazwy.

● Ankieta przeprowadzona przez zachodnioniemiecką telewizję wskazuje, że mniej niż co 10 obywatel NRD popiera Egona Krenza, natomiast 37 proc. respondentów opowiada się za socjalizmem.

● W ostatnich miesiącach z Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności wystąpiło 200 tysięcy członków.

● Na zjeździe Włoskiej Partii Komunistycznej dyskutowano nową formułę organizacyjną i programową. Rozważa się zmianę nazwy partii.

● Nowym sekretarzem generalnym Rumuńskiej Partii Komunistycznej został oczywiście, wybrany ponownie, Nicolae Ceausescu, „wielki dąb chwały Rumunii". Przemówienie inauguracyjne Ceausescu na zjeździe RPK trwało 5,5 godziny i było przerywane oklaskami delegatów 75 razy.

● Na 1 grudnia zapowiedziano spotkanie Michaiła Gorbaczowa z papieżem Janem Pawłem II.

● Najwyższy dostojnik Katolickiego Kościoła Ukraińskiego (unickiego) kardynał Mirosław Lubaczewski wezwał wiernych do uczestnictwa w jednodniowym poście dla podkreślenia pragnienia legalizacji Kościoła unickiego.

● W Budapeszcie przebywał z oficjalną wizytą, pierwszą w krajach socjalistycznych, prezydent Republiki Koreańskiej Ro Te Wu.

● Władze węgierskie wydały całkowity zakaz wywozu artykułów żywnościowych.

● Europejska Federacja Prasy Gospodarczej, jak co roku, opublikowała listę największych europejskich przedsiębiorstw „Euro-top 89" (przedrukowaną na zasadzie wyłączności przez „Politykę — Eksport — Import", nr 24/89). Listę europejskich gigantów otwierają nafciarze: Shell-Koninklijke (Wlk. Brytania, Holandia) i British Petroleum. Dalej idą: Fiat, Daimler Benz, włoskie ENI i zachodnioniemiecki Siemens. Najwięksi pracodawcy to poczta RFN (ponad 561 tys. pracowników), Siemens (353 tys.), Daimler Benz (ok. 339 tys. zatrudnionych). Firmy z naszej strony Łaby nie są na tej liście reprezentowane.

● 18 firm zachodnich ubiega się o uzyskanie koncesji na demontaż ogromnej czerwonej gwiazdy z gmachu budapeszteńskiego parlamentu. Trzy spośród nich podjęły się wykonania usługi bezpłatnie. Władze węgierskie oświadczyły, że gwiazda nie jest na sprzedaż i trafi do muzeum.

relacje

Z KRAJU

● W Belwederze spotkali się prezydent Wojciech Jaruzelski i prymas Józef Glemp. Wyrażono całkowite poparcie dla rządu premiera Mazowieckiego.

● Obfite opady śniegu spowodowały poważne trudności komunikacyjne w całym kraju. Jak zwykle okazało się, że do zimy jesteśmy przygotowani, w zimie — nie.

● Obradował nad systemem podatkowym Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów. Budżet zrezygnował do tej pory z 1,5 biliona zł należnych podatków dochodowych. Wiceminister finansów Jerzy Napiórkowski zapowiedział w TV, że nie przewiduje się żadnych nowych podatków i obiecał ulgi podatkowe sektorowi prywatnemu.

● Ustępująca na Zjeździe NZS, Krajowa Komisja Koordynacyjna wezwała do przerwania bojkotu studium wojskowego. Krakowski i lubelski NZS pozostają w separacji wobec reszty Polski.

● W sobotę pracowało 30 400 górników, o 1680 więcej niż w ubiegłym tygodniu.

● Minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych, Bronisław Kamiński, przebywał wraz z pracownikami na sesji wyjazdowej na Śląsku. „Wraz z przyległymi terenami za granicą jest to najbardziej wstydliwe miejsce w Europie" — stwierdził. Zapowiedziano ostre sankcje za niszczenie środowiska naturalnego. Nie po raz pierwszy, zresztą.

● „Powinniśmy się domagać wędki, a nie ryby" — sugerował w sprawie pomocy z Zachodu Marek Król, poseł i sekretarz KC PZPR na spotkaniu z wyborcami w Nowym Tomyślu.

● Jerzy Urban w artykule „Kolec po pocałunkach" („Trybuna Ludu" z 24 listopada) skrytykował rząd polski za zbyt „miękkie" stanowisko w trakcie pobytu kanclerza Kohla i podpisanie wspólnej deklaracji w takim brzmieniu. „Uważam — pisze J. Urban — że reprezentant Klubu Poselskiego PZPR powinien zgłosić do rządu interpelację, dlaczego premier nie wykorzystał sytuacji, a strona polska zachowała się tak nieelastycznie, że może być posądzona o dyletantyzm, lub o chwytanie korzyści ekonomicznych z lekceważeniem strony politycznej stosunków".

● O Jerzym Urbanie, dawnym koledze redakcyjnym, tak pisze Daniel Passent („Komórki do wynajęcia" — „Polityka" nr 47): „[...] Jerzy Urban, który pomagał już partii na różne sposoby, teraz postanowił rzucić się w jej objęcia osobiście i ogłosił w »Polityce«, że wstępuje do PZPR. Szanuję tę decyzję i nie dziwię się, że po latach współżycia na kocią łapę, postanowił ten związek zalegalizować. Jak rozumiem, nie był to ślub kościelny. Z pewnym zdumieniem przeczytałem po kilku dniach, że tow. Urban urzęduje już w KC. Nie wiedziałem, że z partią jest już tak źle, iż każdemu nowemu członkowi oferuje gabinet w Białym Domu — w dobrym punkcie, ogrzewany, z parkingiem i stołówką". Przy okazji Passent bierze pod obcasy przemalowanego Jerzego Klechtę, Michała Boniego (obecnie „Gazeta Wyborcza"), Jacka Maziarskiego (dawniej „Ład", obecnie „Tygodnik Solidarność"), Kazimierza Dziewanowskiego (dawniej „TS", obecnie „Tygodnik Powszechny") i Stefana Bratkowskiego („Stefek Burczymucha" — określ. Daniel P.).

● Kazimierza Dziewanowskiego („Krótki traktat o naszych celach", „Tygodnik Powszechny" nr 48/89) opinie o: NRD — „[...] Jego względna prosperity w porównaniu z Polską nie wynika z wewnętrznych zalet systemu, tylko z faktu, że NRD przez cały czas otrzymywała transfuzje, była sztucznie dokarmiana i po cichu włączona w krwiobieg EWG. Gdyby musiała działać w warunkach takich jak Polska — jej sytuacja byłaby całkiem odmienna. A i tak eksport NRD do zachodnich sąsiadów od trzech lat systematycznie spadał (wg »Economist« w ciągu ostatnich lat średnio o 10 proc. rocznie) i wciąż pogarszała się jego struktura"; o RFN — „[...] pomyślność i potęga RFN są ściśle zależne od związków i współpracy z Zachodem, a zwłaszcza z EWG. Cały handel z krajami RWPG stanowi zaledwie 6 proc. ogólnej kwoty handlu zagranicznego Niemiec Zachodnich. Handel z maleńkim Beneluxem wynosi o wiele więcej. Owe ogromne mityczne »rynki i możliwości Wschodu« są jak dotąd właśnie tylko mitami"; o Polsce — „[...] Wielkie przemiany i owa »Wiosna Ludów« przestały być fanaberią zwariowanych i romantycznych Polaków. Okazały się historyczną koniecznością, w której Polska odegrała rolę wiodącą. I co najważniejsze: skuteczną".

● Amerykański rabin Abraham Weiss wniósł do sądu w Częstochowie sprawę o zniesławienie przeciwko kardynałowi Józefowi Glempowi. Chodzi oczywiście o homilię prymasa po wtargnięciu grupy Żydów na teren klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu. Zdaniem Weissa, stwierdzenia prymasa były oburzające i antysemickie. Rabin oświadczył, że czułby się usatysfakcjonowany przeprosinami kardynała Glempa.

● Nauczyciele, jako druga po leśnikach federacja związkowa, postanowili wystąpić z Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych.

● Katastrofalne wyniki odnotowało w tym roku budownictwo. Nie wykonano planów w żadnej z dziedzin. W województwie lubelskim do tej pory oddano 2 tys. mieszkań, zaledwie połowę rocznego planu.

● W Lublinie przebywała wiceminister edukacji narodowej Anna Radziwiłł. Prezentując p. wiceminister, poseł Zygmunt Łupina powiedział: pani senator, księżna Anna Radziwiłł. Nie są znane wypowiedzi księżnej na temat przyszłości radziwiłłowskiej rezydencji przy Placu Litewskim.

● 25 listopada odbyła się w Lublinie I tura Walnego Zebrania Delegatów NSZZ „Solidarność" Regionu Środkowowschodniego. Udzielono absolutorium ustępującym władzom związku, zarówno tym, które działały do stanu wojennego, jak i tym, które kierowały regionem w podziemiu i po legalizacji „Solidarności". Zgłoszono trzy kandydatury na przewodniczącego Zarządu Regionu: Radosława Drwala, Jacka Dycia i Stanisława Węglarza. Powołano cztery zespoły programowe, które będą pracować do następnej tury Zebrania Delegatów, tj. do 9 grudnia br.

L. W.

Informujemy, że nasz pracownik, red. Wiesław Horabik został korespondentem dziennika angielskiego „The Guardian" w Polsce. Gratulujemy. Red.

W „RELACJACH" SZYBCIEJ, TANIEJ, DALEJ

Przypominamy wszystkim zainteresowanym, że od kilku tygodni publikujemy więcej ogłoszeń. Tym, którzy zechcą skorzystać z naszych usług, przypominamy też, że u nas ogłoszenia ukazują się:

— SZYBCIEJ

bo jeżeli otrzymamy ogłoszenie do godziny 10 w poniedziałek, to już w czwartek zamieszczamy je w kolejnym wydaniu „Relacji";

— TANIEJ

bo jako pismo nowe korzystamy z preferencji i oferujemy dużo niższe ceny;

— DALEJ

bo „Relacje" mają debit ogólnopolski i sprzedawane są w całym kraju.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń (Lublin, Al. Racławickie 1, parter, tel. 214-23) w godzinach 9—15.45 oraz Redakcja (Lublin, ul. M. Curie-Skłodowskiej 2, tel. 215-57) w godzinach 9—14.

O ogłoszeniach szczególnego rodzaju informuje natomiast poniższy komunikat:

Odnajdziesz się w „Relacjach"

● Jeżeli masz telefon, a nie ma Cię w książce telefonicznej.
● Jeżeli założyłeś firmę.
● Jeżeli Twoja firma zmieniła adres lub numer telefonu.
● Jeżeli proponujesz nowe usługi lub towary.

skorzystaj

z Informatora Firmowego „Relacji". Publikować w nim będziemy aktualny rejestr firm prywatnych i państwowych, sklepów, punktów usługowych itd. oraz ich aktualne adresy i telefony. Także — według życzenia — informacje o świadczonych przez nie usługach, o ich ofertach itd. Także aktualne telefony prywatne, jeżeli nie ma ich w książkach telefonicznych. W ten sposób powstanie „Informator Firmowy Relacji". Dzięki „Informatorowi" o wiele rzadziej będziesz krzystał z numerów 912 i 913.

„Informator..." będzie zawierał trzy działy: nowe firmy, nowe adresy i telefony, mój nowy telefon.

JUBILEUSZ „TYGODNIKA ZAMOJSKIEGO"

522 numery „Tygodnika Zamojskiego" ukazały się w kioskach przez 10 lat istnienia tytułu. Swój jubileusz zespół może świętować w spokoju i ze świadomością odniesionego sukcesu. Redakcja, kierowana początkowo przez Andrzeja Szwabego, a następnie — po dziś dzień — przez Zdzisława Kazimierczuka, trafnie odczytała potrzeby czytelnicze mieszkańca swojego regionu, jego specyfikę i tradycje. W publicystyce i reportażu, zawsze na profesjonalnym poziomie, dziennikarze „TZ" podejmowali frapującą problematykę historyczną i ekonomiczną, zwłaszcza rolną, tropili zamojskie afery, śledzili przemiany obyczajowe. Redakcja towarzyszyła wszystkiemu, co najważniejsze w Zamościu i województwie, podejmowała różne inicjatywy społeczne. Obecna sytuacja ekonomiczna pisma, sprawność dziennikarska zespołu i sposób redagowania periodyku, pozwalają „Tygodnikowi Zamojskiemu" bezkolizyjnie wkraczać w następne dziesięciolecie. Przyjaciołom z „Tygodnika Zamojskiego" serdecznie gratulujemy!

REDAKCJA

CENA „RELACJI"

Przypominamy, że tygodnik nasz kosztuje 300 zł. Za tę kwotę dziś można kupić na przykład:

— w sklepie spożywczym 2 paczki paluszków albo 3 lizaki, albo 2,4 dkg masła chłodniczego, albo 1/2 bochenka chleba dotowanego.

— w sklepie warzywniczym 2,3 dkg maku (ciekawe, ile to ziarnek?), 1 pęczek szczypioru, 10 dkg fasoli;

— w sklepie papierniczym 1 zeszyt 60-kartkowy;

— na poczcie 2 znaczki do listów zamiejscowych;

— na bazarze 1 jajko;

— w kiosku „Ruchu" 1 paczkę czeskich zapałek;

— w sklepie monopolowym 13,57 grama wódki „Popularnej", 11,49 grama wódki „Delikatesowej", w restauracji 9,37 grama wódki „Stołowej", 16 gramów piwa „Perła";

— w sklepie gospodarstwa domowego 1 spinacz do bielizny.

(r)

W MOSKWIE I PRADZE

Leszek Wiśniewski

UWAGA polskiej opinii publicznej skupiona była — powinna być w każdym razie — na wizycie premiera Mazowieckiego w ZSRR i wydarzeniach w Czechosłowacji. To, co działo się równocześnie nad rzeką Moskwą i Wełtawą ma, akurat dla nas, ścisły związek i ważne implikacje na przyszłość. Wszystko wskazuje na to, że Wschód i Południe będą nas w tej przyszłości interesować najbardziej.

Nie jestem tu wcale oryginalny. W czasie wizyty w Lublinie Zbigniew Brzeziński mówił na KUL o potrzebie rozważnej i rozumnej polityki wobec ZSRR, a już cały passus wykładu poświęcił konieczności poszukiwania szans federacji z sąsiadem zza Sudetów. Kontekstem była przyszłość zjednoczonych Niemiec, która właśnie staje się na naszych oczach. Tych szans, zdaniem amerykańskiego politologa, winniśmy szukać mimo, a nawet wbrew uprzedzeniom, fobiom i kompleksom, jakie usadowiły się w świadomości i podświadomości Polaków. Może to i niepopularne, ale zmiana nastawienia jest kwestią naszej racji stanu.

◆

„Nieprawda, że tylko jedna siła polityczna w naszym kraju jest w stanie gwarantować nasz sojusz i harmonijną współpracę ze Związkiem Radzieckim" — stwierdziła rzecznik prasowy rządu Małgorzata Niezabitowska w przeddzień wizyty Tadeusza Mazowieckiego na Kremlu. Sądzę, że utrwalenie tego przekonania było jednym z celów premiera. Obok przekonania strony radzieckiej o bezkolizyjności polskich przemian, upomniania się o prawa rodaków w ZSRR, oczyszczenia wzajemnych stosunków z historycznych niedomówień i, wreszcie, uzyskania wsparcia ekonomicznego.

Premier Mazowiecki w wydanym na konferencji prasowej oświadczeniu powiedział m. in.: „Jak państwo wiecie ta wizyta nie była wizytą konwencjonalną, ani dla nas, ani dla gospodarzy. Myślę, że z moimi głównymi rozmówcami porozumieliśmy się co do tego, że ten rząd wyłoniony przez Solidarność, w oparciu o szeroką koalicję, chce w sposób niekoniunkturalny umacniać i rozwijać stosunki polsko-radzieckie, traktując te stosunki jako pryncypialne założenia swej polityki".

T. Mazowiecki specjalną ocenę wystawił rozmowom z M. Gorbaczowem, który — jego zdaniem — wykazał daleko idące zrozumienie dla polskich spraw. Poruszono m.in. kwestię katyńską i strona polska, jak powiedziano, oczekuje szybkiego „oczyszczenia tej sprawy", tak psychologicznie ważnej dla sąsiedztwa przez Bug. Rosjanie z kolei wyrazili niepokój z powodu aktów wandalizmu wobec radzieckich symboli w Polsce, istotnie, są oni drażliwi w tej materii. Być może nawet przesadnie.

Gorzej natomiast poszło w sprawach ekonomicznych. Są problemy ze spłatą blisko 7 mld rubli transferowych naszego zadłużenia, spotkaliśmy się z odmową zwiększenia dostaw paliw i energii. Obiecano nam jedynie utrzymanie eksportu do Polski na tym samym poziomie, co, zważywszy radzieckie trudności, i tak jest sporym zyskiem.

Zabawne, ale w pierwszym dniu wizyty dziennik „Wremia" tytułował T. Mazowieckiego per „towarzysz". Cóż, siła przyzwyczajenia... Udzielając radzieckiej TV wywiadu, już „gaspadin Mazowiecki" na koniec sam zadał pytanie dziennikarzowi, czy ten widzi w nim przeciwnika, czy też partnera z sąsiedniego kraju. „Oczywiście, że partnera" — odrzekł reporter. „I to jest najważniejszy sukces mojej wizyty" — skonstatował Tadeusz Mazowiecki. Też tak uważam i chyba nie jestem odosobniony.

◆

Wypadki w Czechosłowacji rozwijają się w lawinowym tempie i nie wiem, czy to, co piszę w poniedziałkowy ranek, w czwartek nie zabrzmi jak melodia przeszłości. Jeszcze miesiąc temu Vaclaw Havel poddany były przymusowemu leczeniu, jeszcze dwa tygodnie wstecz praskie ZOMO wyżywało się na studentach, jeszcze w ubiegłym tygodniu Milosz Jakesz oświadczał: Żadnych marzeń panowie, żadnych marzeń... W niedzielę na praskich błoniach pół miliona ludzi (niektóre doniesienia mówią o milionie) wiwatowało Aleksandra Dubczeka, Vaclava Havela i premiera Ladislava Adamca, który... poparł proklamowany na poniedziałek strajk generalny.

Przywódca Forum Obywatelskiego Vaclav Havel i ośmiu działaczy opozycyjnych spotkali się z premierem Adamcem, trzema członkami jego gabinetu i przedstawicielem, uaktywniającej się, Partii Socjalistycznej — Bohuslavem Kuczerą. Opozycja podyktowała warunki. Wcześniej rząd podał się do dymisji, ale manifestanci i ich trybun udzielili Adamcowi poparcia. Do dymisji podał się również Sekretariat KC KPCz z Jakeszem na czele, a nowym liderem został Karel Urbanek.

Te zmiany Havel skomentował jako pozorne, stwierdzając, że KPCz straciła prawo do sprawowania władzy. Istotnie wydaje się, że kierownictwo partyjne, które nie ma już — jak za Breżniewa — bezwzględnego poparcia Kremla, zostało zablokowane, a ciężar decyzji i odpowiedzialność przesunęły się w stronę rządu. Można sądzić, że opozycja i społeczeństwo dostrzegają w premierze przyczółek do przerzucenia kładki dla bezpiecznego przejścia nad wezbraną rzeką.

Kardynał — symbol, prymas František Tomašek, apelował o wytrwałość, odwagę i odpowiedzialność, przestrzegał przed rozwiązaniami siłowymi. „Nie popadajmy w euforię, walka nie jest jeszcze wygrana" — wołał do demonstrantów Vaclav Havel. Jego przyjaciele i towarzysze tej walki wyszli już jednak z więzień...

Osobiście z ogromnym poruszeniem śledzę wydarzenia w Czechosłowacji. Zawsze irytowały mnie, niestety dość rozpowszechnione w Polsce, stereotypy o tchórzliwych, konformistycznych Czechach, lekceważący do nich stosunek, pełen przeświadczenia o unikalnej własnej odwadze, jedynie słusznej racji i demokracji.

Stykałem się z Czechami wiele razy, czułem i rozumiałem, że ich pragnienia, ich pojmowanie wolności i demokracji jest podobne naszemu. A odwaga nie mniejsza, może tylko inna... Nie mógł być zniewolony naród, który wydał Hrabala, Kunderę, Seiferta, Havela i tylu innych dzielnych ludzi.

Pisałem o zadawnionych uprzedzeniach — były: Karwina i Ostrawa 1919, Zaolzie 1938, Hradec Kralove 1968, Lipavski i jemu podobni przed i po 13 grudnia. Ale było też i moralne wsparcie Karty 77 przez Solidarność, przerzucane prez granicę wydawnictwa i sprzęt poligraficzny, upominanie się o uwięzionych działaczy i sierpniowa deklaracja polskiego parlamentu potępiająca inwazję z 1968 r. Dlatego tysiące ludzi na Placu Wacława skandowało obok nazwisk Dubczeka i Havela, hasło: „Niech żyją Polacy!"

Warto, byśmy wyciągnęli z tego wnioski. Zawsze choć tak blisko, było nam do Pragi tak daleko... Sądzę, że tak szybko, jak pozwola na to warunki, premier Mazowiecki powinien stanąć w Pradze. Mamy wielka szansę stać się cenionym partnerem i nie wymuszonym sojusznikiem. Wykonaliśmy gest pojednania z Niemcami. Jest czas, by pojednać się z Czechami, Rosjanami, Ukraińcami i Litwinami. My tu na siebie jesteśmy skazani.

„CZARNA" SOBOTA W BOGDANCE

Zbigniew Dzięciołek

SPADA wydobycie węgla kamiennego. Tylko w pierwszym półroczu 1989 r. było mniejsze o 3,9 proc. niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Pogłębiający się deficyt energetyczny Polski spowodował, że premier Tadeusz Mazowiecki wystosował apel do górników o pracę w wolne soboty. Fachowcy określają ten apel jako próbę leczenia skutków, a nie przyczyn energetycznej klęski kraju. Stanisław Albinowski obliczył, że nasza gospodarka pochłania o 57,5 proc. energii elektrycznej więcej, niż wynoszą jej rzeczywiste potrzeby. Zatem ponad połowę zużytej energii po prostu marnotrawimy, a co ósma tona wydobywanego węgla idzie na... wydobycie węgla. Póki co jednak, zwiększona produkcja węgla kamiennego pozostaje naszym jedynym ratunkiem.

30 listopada 1982 r. nastąpiło uruchomienie pierwszej ściany wydobywczej w Kopalni Węgla Kamiennego w Bogdance. Po pięciu latach, w styczniu 1988 r., dzienny urobek wynosił 2,5 tys. ton, a koszty wydobycia jednej tony sytuowały kopalnię na ostatnim miejscu w kraju. Głośno mówiono wówczas o nieopłacalności produkcji lubelskiego węgla, który przy niskim wydobyciu i wysokich kosztach, miał być również mało wydajny. W tej sytuacji rząd premiera Messnera postanowił wstrzymać budowę drugiej kopalni w Stefanowie. Nie pomogły protesty, poparte rzeczową argumentacją. Pozostała jedynie „Bogdanka" i nazwa: Lubelskie Zagłębie Węglowe.

Do kopalni przyjechałem w drugą sobotę po ogłoszeniu apelu premiera. To, co zastałem i niniejszym opisuję, polecam pilnej uwadze różnych „natchnionych" ekonomistów i publicystów, którzy zza biurka kreślą brednie o lubelskim górnictwie.

Dziś „Bogdanka" zatrudnia blisko 5800 pracowników, z których prawie połowa pracuje bezpośrednio pod ziemią. Dzienne wydobycie węgla na pięciu ścianach wzrosło o 4,5 tys. ton w stosunku do 1988 r. i wynosi obecnie 7 tys. ton. Nikomu w Polsce, podkreślał naczelny inżynier Bogusław Biłyk, nie udało się dotychczas zwiększyć niemal dwukrotnie „dniówki" w ciągu roku. Dodatkowo zmniejszyły się znacznie koszty wydobycia jednej tony węgla. Z ostatniego miejsca na liście 70 kopalń w kraju, Bogdanka przesunęła się na 23 pozycję!

W złotówkach wygląda to następująco: wydobycie tony lubelskiego węgla w październiku oscylowało w granicach 40 tys. zł, a w wielu śląskich kopalniach przekroczyło już 100 tys. zł. Jeżeli dodamy do tego, że rządowe dotacje do węgla mają mniej więcej równoważyć koszty eksploatacji złóż (państwowa cena jednej tony wynosiła w październiku 10 500 zł), to łatwo obliczyć, który węgiel jest tańszy.

Tak przedstawia się owa „nieopłacalność produkcji węgla na Lubelszczyźnie". Ale w 1988 r. nikt z ekipy premiera Messnera nie chciał zrozumieć, że kopalnia jest cały czas na rozruchu. Że ówczesne wyniki finansowe i wydobywcze nie odzwierciedlały w pełni jej faktycznych możliwości. Doprowadzono do tego, że rzekoma niewydolność Lubelskiego Zagłębia stała się w Polsce mitem, który dzisiaj z wielkimi oporami jest przełamywany. Znany publicysta Józef Kuśmierek, po obejrzeniu kopalni i zapoznaniu się z jej wynikami, przetarł ze zdziwienia oczy, twierdząc, że ma poważne wątpliwości, czy ktoś uwierzy mu w to, co widział i słyszał w Bogdance.

Apel premiera Mazowieckiego nie stanowił dla lubelskich górników specjalnej zachęty do pracy w wolne soboty. Wydobycie węgla przez sześć dni w tygodniu jest tutaj po prostu koniecznością. Mała wytrzymałość skał, powodująca duże ciśnienie, wyklucza dłuższe przerwy w pracy. Dwudniowy przestój grozi zaciśnięciem ściany, co w konsekwencji może doprowadzić do przerwania stropu na przodku ścianowym. Specyficzne warunki geologiczne wymuszają niejako na załodze (chociaż przymusu administracyjnego nie ma) sobotni urobek pod ziemią. Co tydzień 60—65 proc. górników z ogólnej liczby 2815 zjeżdża na poziom prawie 1000 metrów. Wydobycie w tym dniu wynosi ok. 5200 ton węgla. W pierwszą sobotę, po telewizyjnym wystąpieniu prezesa Rady Ministrów, przy zmniejszonym do 62 proc. stanie załogi, urobek wyniósł 6480 ton, co świadczy o istniejących jeszcze rezerwach wydajności w ludziach i sprzęcie.

Nie można jednak, twierdzi dyrektor Biłyk, apelować w nieskończoność o zwiększenie wydajności produkcji przy jednoczesnym wstrzymaniu kredytów na rozwój kopalni.

Osiągnięty poziom wydobycia węgla nie stanowi kresu możliwości „Bogdanki", która w obliczu przewidywanego przejścia na pełną samodzielność (teraz, razem z 18 innymi kopalniami na Śląsku, tworzy Przedsiębiorstwo Eksploatacji Węgla „Wschód" w Sosnowcu i nie posiada osobowości prawnej) jak najbardziej zainteresowana jest szybkim wzrostem produkcji i maksymalnym obniżeniem jej kosztów.

Obecnie tylko 8 proc. wydobytego i „wypłukanego z kamienia" węgla trafia rocznie do naszego regionu. Reszta wędruje pociągami do elektrowni w Połańcu i Ostrołęce. Powód? Brak płuczki miałowej, która oczyszczałaby drobny węgiel. Żeby powstała m.in. i ta płuczka, kopalni potrzeba 13 mld zł kredytu, liczonych w cenach z tego roku. Jak obliczył dyrektor Biłyk, te pieniądze zwróciłyby się w ciągu 6 miesięcy. Przy zmniejszonej ilości wypłukanego węgla, zwiększyłaby się znacznie jego kaloryczność. To po pierwsze.

Po drugie, koszt transportu jednej tony węgla ze Śląska do regionu lubelskiego wynosi 5 tys. zł. Przy obecnym rozwoju roczne wydobycie osiągnie w „Bogdance" 3 mln ton 1991 r., a koszt transportu tej samej tony nie przekroczy tysiąca złotych.

Po trzecie, kopalnia jest zlokalizowana na terenach słabo zaludnionych, co ma olbrzymie znaczenie dla ochrony ludzkiego zdrowia. Stopień zanieczyszczenia siarką „naszego" węgla nie przekracza 0,8 proc. w sytuacji, kiedy średnia krajowa wynosi 1,5 proc., a w niektórych kopalniach dochodzi nawet do 3 proc. Z tego też względu Włosi wyrażają gotowość partycypowania w kosztach budowy drugiej kopalni w Stefanowie. Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę fakt, że ze 100 mld ton, ogólnopolskich zasobów węgla, 40 znajduje się w Lubelskim Zagłębiu, to konieczność i opłacalność przyznania kredytu przestaje mieć wymiar tylko lokalny.

Nie czekając na potrzebne pieniądze, już dzisiaj poszukuje się w „Bogdance" źródeł oszczędności. M.in. własna produkcja pras do regeneracji obudowy chodników pozwala, w znacznie większym stopniu niż na Śląsku, wykorzystywać złom do powtórnego zastosowania pod ziemią. Jednak to, co może wypracować sama kopalnia, nie zastąpi wielomiliardowego kredytu. Przy zysku, który w tym roku wyniesie ok. 4 mld zł, jeszcze kilka lat będziemy czekali na „czysty" węgiel z „Bogdanki".

Na razie apel premiera Mazowieckiego wygląda tak, jakby od sportowca oczekiwano coraz szybszego biegu, nie zapewniając mu odpowiedniego obuwia. Będzie biegł, tylko jak długo wytrzyma tempo?

W biłgorajskiej „Tanwi"

OSACZONY

Izabella Wlazłowska

PO raz trzeci zabieram głos w sprawie, która zajmowała łamy nie tylko tygodnika „Relacje", również „Niewidomego Spółdzielcy", „Płomieni", a ostatnio i fale Polskiego Radia. Reakcja wszystkich dziennikarzy była jednakowa: krytykowali „stosuneczki" panujące w Spółdzielni Niewidomych „Tanew" w Biłgoraju, występując w obronie byłego wiceprezesa do spraw rehabilitacji, człowieka niewidzącego, który „za dużo widział". Jeden z warszawskich dziennikarzy podsumował: „Cała sprawa świadczy wymownie o stosunkach i stosuneczkach, jakie panują w Biłgoraju. Dobrze byłoby oczyścić tę zatęchłą atmosferę i wpuścić tam nieco świeżego powietrza".

Jaką szansę ma niewidomy występujący przeciwko tym, którzy mają dobry wzrok i ciepłą posadkę? Żadną. I tak też było w tym przypadku. Lecz zanim przypomnę czytelnikom, o co chodziło, chciałabym, aby to, co napiszę, odebrali jako mój głos w sprawie wszystkich niewidomych, których może spotkać podobny los. Bo w tej spółdzielni z osobami niewidzącymi a niepokornymi rozprawiają się krótko. Po prostu pokazują im drzwi.

Osobom mającym dobry wzrok łatwo jest przecież manipulować tymi, którzy są od nich uzależnieni. Bezgranicznie uzależnieni. I o tym też będzie w tym artykule.

WÓSMYM numerze „Relacji" opublikowałam artykuł pt. „Anonimów nie pisałam", w którym przedstawiłam, w jaki sposób Rada Nadzorcza Biłgorajskiej Spółdzielni „Tanew" pozbyła się lektorki Jerzego Wójcika, niewidomego wiceprezesa zarządu ds. rehabilitacji, a więc jego „oczu". Otóż Rada Nadzorcza spółdzielni posądziła lektorkę, panią Wandę Szwalę, że poinformowała ona dziennikarzy o tym, iż prawie wszyscy członkowie kierownictwa spółdzielni „załatwili" sobie II grupy inwalidzkie z tytułu utraty wzroku, które w następstwie „afery" zostały im cofnięte przez KIZ w Zamościu. Profity, które w związku z tym osoby te utraciły, były niemałe, więc i zemsta musiała być duża.

Ponieważ przy okazji oczy lektorki wiceprezesa dostrzegły pewne nieprawidłowości w dokumentach, o jakich w piśmie poinformował Jerzy Wójcik prezesa spółdzielni, niektóre osoby poczuły się poważnie zagrożone.

W dwa tygodnie po ukazaniu się mojego artykułu Rada Nadzorcza wykonała swą groźbę i odwołała Jerzego Wójcika z funkcji członka zarządu, zastępcy prezesa ds. rehabilitacji bez jednego słowa uzasadnienia tej decyzji. Jednocześnie wypowiedziała mu warunki pracy i płacy, przenosząc J. Wójcika na stanowisko referenta w dziale rehabilitacji z ponad połowę niższym wynagrodzeniem jak to, które do tej pory pobierał.

Żeby kara dla J. Wójcika za wtykanie nosa w nie swoje sprawy była jeszcze dotkliwsza, został on teraz służbowo podporządkowany Januszowi M., pełniącemu funkcję kierownika działu rehabilitacyjno-socjalnego i spraw pracowniczych, a więc osobie, której były wiceprezes zarzucał nieprawidłowość w pracy oraz działanie na niekorzyść spółdzielni i zatrudnionych w niej, niewidomych inwalidów. A zarzuty te były poważne.

I to było powodem, dla którego dopisałam dalszy ciąg w opublikowanym w numerze 15 „Relacji" artykule pt. „I wiceprezesa odwołano". W oparciu o materiały, które wówczas zebrałam, stało się dla mnie jasnym, że w spółdzielni „Tanew" dobrała się grupa ludzi widzących, dla których niewidomi stanowili jedynie dobry szyld dla poczynań, które z troską o inwalidów nie miały nic wspólnego.

W kilka dni po ukazaniu się tego artykułu uczestniczyłam w walnym zgromadzeniu członków tej spółdzielni. Tym razem „wściekłe" ataki, zainteresowanych w tej sprawie, osób widzących skierowane były po równo: na osobę Jerzego Wójcika i na moją. Muszę przyznać, że po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam w tak manipulowanym walnym zgromadzeniu członków.

Opisany przeze mnie w artykule kierownik zakładu, który przewodniczył temu zebraniu, dopuszczał do głosu tylko tych, którzy atakowali albo Jerzego Wójcika, albo mnie. Nie dopuścił do zapoznania zebranych z protokołem zakończonej właśnie kontroli, dokonanej przez lustratora z Centralnego Związku Spółdzielni Niewidomych, mimo iż na sali siedział sam lustrator oraz inni przedstawiciele władz CZSN.

Nieśmiałe wystąpienia młodych, niewidomych mężczyzn ucinane były bez pardonu. Właściwie żadna z osób niewidzących nie wypowiedziała podczas tego zebrania swojego zdania do końca. Siedzące naprzeciw mnie niewidome kobiety w ogóle nie wiedziały, o co chodzi. Podnosiły rękę do głosowania, nieświadome tego gestu i jego skutków. To były proste kobiety z odległych wsi, chałupniczki, które powróciły do życia tylko dlatego, że odnalazł je Jerzy Wójcik — niewidomy wiceprezes ds. rehabilitacji tej spółdzielni. Gdyby nie on, pies z kulawą nogą by się o nie nie zatroszczył. Bo komu potrzebna jest niewidoma chałupniczka? Przecież jej miejsce może zająć osoba w pełni sprawna.

Nigdy osoba widząca nie zrozumie niewidomego.

To walne zgromadzenie było po prostu niesmaczne.

No i przegłosowano: votum nieufności dla wiceprezesa Wójcika i usunięcie go ze stanowiska. To nic, że w czasie podejmowania tej uchwały nie było quorum na sali, co niektórzy „niepokorni" usiłowali wykrzyczeć. Zza stołu prezydialnego liczono w czambuł wszystkich, łącznie z przewodnikami osób niewidomych, nie będącymi członkami spółdzielni i nie mającymi w ogóle prawa głosu.

KILKA dni później w Sądzie Pracy w Biłgoraju odbyła się rozprawa z wniosku Jerzego Wójcika o uznanie za bezskuteczne wypowiedzenie mu warunków pracy i płacy. 31 maja sąd w wyroku orzekł bezskuteczność tego wypowiedzenia.

— Cóż z tego, że był wyrok — mówi J. Wójcik. — Według kierownictwa spółdzielni, trzydziesty czerwca był dniem, w którym kończyło mi się to wypowiedzenie. Zaraz więc w poniedziałek, 3 lipca, wkroczył do mnie do pokoju podległy mi dotychczas kierownik Janusz M., przynosząc mi do podpisania zakres czynności referenta w jego dziale. Odmówiłem podpisu. Na polecenie prezesa Dyjaka

---

NAPAD W CHEŁMSKIEM

Henryk Makarski

16 LISTOPADA 1988 roku o godz. 16.00 doręczyciel Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Myśliwcach powiadomił telefonicznie dyżurnego RUSW w Chełmie, że zamordowano naczelnika poczty, 58-letnią Jadwigę Kizer.

Grupa operacyjno-dochodzeniowa pod kierownictwem zastępcy naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego WUSW, majora Tadeusza Lecha, udała się na miejsce zbrodni. Zwłoki ofiary leżały na podłodze pomieszczenia operacyjnego poczty. Obok zwłok — bilon porozrzucany w kałuży krwi, dwa napoczęte dropsy owocowe, zawartość damskiej kosmetyczki.

Strzaskane kości sklepienia czaszki oraz złamanie łuku jarzmowego świadczyło, iż zgon nastąpił wskutek ciosów zadanych z dużą siłą tępokrawędzistym narzędziem; prawdopodobnie — obuchem młotka. Na dziewięciu foliach daktyloskopijnych zabezpieczono mikroślady z przedmiotów, z którymi mógł mieć kontakt zabójca. Czy był sam? Rzecz przecież rozegrała się w biały dzień, w czasie funkcjonowania poczty.

Działania dochodzeniowe musiały być prowadzone wielokierunkowo. Wykluczono motyw zemsty, naczelnik poczty była bowiem osobą bezkonfliktową, uczciwą i skrupulatną, żyjącą z właściwą starym pannom dokładnością i pogodą ducha. Coraz więcej ustaleń wskazywało na rabunkowy charakter zabójstwa. Ale kto był sprawcą?

Pojawił się w zeznaniach mieszkańców wioski najpierw portret tajemniczego osobnika, który przyjechał „okazją" z Chełma, ukrył się za drzewem i obserwował budynek poczty. A na głowie miał charakterystyczną kominiarkę. Dzieci wychodzące ze szkoły widziały, jak „pan w gangsterskiej kominiarce" biegał nerwowo wokół drzewa, a potem uciekł w stronę skrzyżowania dróg. Sprawca, czy zmarznięty amator podróżowania auto-stopem? Inna wersja: widziano dwóch obcych mężczyzn w „maluchu", pytających o drogę do Chełma...

Działania operacyjne i procesowe pozwoliły ustalić rysopis osobnika, który był ostatnim klientem poczty. Był nim najprawdopodobniej młody mężczyzna, który między godziną 11.40 a 12.00 chciał telefonować do dziewczyny, do Lublina, ale akurat remontowano linię, więc zdecydował, że przyjdzie później.

Przełomowym momentem w sprawie było znalezienie na podłodze poczty niepozornego skrawka papieru. Był to kwit sprzedaży złomu, wystawiony na nazwisko Sławomira Smutnego. Okazało się, że Smutny jest miejscowym rolnikiem, lat 24, absolwentem podstawówki, karanym ongiś w trybie przyspieszonym za sfałszowanie karty drogowej. Z kierownicą się pożegnał, ale gospodarką rodziców też niezbyt się interesował. Opinię w środowisku miał całkiem przyzwoitą.

Ustalono, że krytycznego dnia wyjechać miał do Chełma. I tak zeznał, bolejąc, że nie może pomóc milicji, bo o zdarzeniu nic nie wie. Ale zapytany o kwit, zaczął się plątać w zeznanich. Podał trzy wersje:

— Pracując jeszcze w Chełmie, jako kierowca, byłem na budowie w Rejowcu i kierownik polecił mi sprzedać złom. Było ze mną jeszcze dwóch bliżej mi nie znanych robotników, którzy nie mieli dowodów osobistych, więc kwit został wystawiony na moje nazwisko, ale oni go wzięli... Nie, ten kwit to chyba ja miałem, ale ostatnio zgubiłem portfel z dokumentami i kwitem... Tak, to z całą pewnością ja ten kwitek miałem, przypominam sobie, ale nie pamiętam, w jakich okolicznościach go zgubiłem...

Twierdził, że w Chełmie robił duże zakupy, płacąc pieniędzmi z osobistych oszczędności. Kupił spodnie, koszulę, sweter, zegarek elektroniczny, kurtkę i buty. Ustalono, że był zadłużony na ponad sto tysięcy złotych, więc wersja o oszczędnościach traciła kłamstwem. Nazajutrz po zdarzeniu na poczcie, wpłacił Chełmskiemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu dług, kwotę 54 tys. zł, którą obciążono go z powodu przepału paliwa. A także zwrócił siostrze trzydzieści tysięcy zł. Skąd ta obfitość gotówki u człowieka, który bez przerwy pożyczał, finansując kosztowne, kilkudniowe wypady do Lublina i Chełma z dziewczyną, którą na wiosnę planował poślubić?

Zapadła decyzja o zatrzymaniu Sławomira Smutnego i przeszukaniu mieszkania. Znaleziono kurtkę z wycieranymi śladami krwi.

— To moja krew, z nosa, często mi leci — zapewniał. Odzież Sławomira Smutnego przesłano do ekspertyzy. Czas mijał, a prokurator nie kwapił się do podjęcia decyzji o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania.

— To była sobota, więc określone trudności. Pomógł nam bardzo ekspert ówczesnego Zakładu (dziś: Instytutu) Kryminalistyki KG MO, major Włodarczyk. Ze względu na wagę sprawy, w czasie prywatnym wykonał ekspertyzę od ręki i przed godziną osiemnastą powiadomił nas telefonicznie: „To nie jest krew z nosa!" Dzięki temu zdołałem przekonać prokuratora wojewódzkiego o konieczności aresztowania mężczyzny podejrzanego o dokonanie zabójstwa — opowiada pułkownik Stefan Pasieczny, naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego WUSW.

Smutny najpierw kluczył, kłamał, zmieniał wyjaśnienia. Twierdził, że klucze od poczty razem z młotkiem wyrzucił po drodze do Chełma, przez okno ciężarówki. Zbadano, że nie mógł przez okno wyrzucić, bo akurat z tej strony przy szybie brakuje korbki, a kierowca wykluczył możliwość otwarcia. Prawda była inna.

Klucze wrzucił do muszli klozetowej na dworcu PKS w Chełmie. Młotek się nie zmieścił, więc go wyrzucił na śmietnik. Tu pochwalić trzeba ofiarność pracowników MPGK, na czele z kierownikiem Zakładu Oczyszczania Miasta, Waldemarem Kursą. Robotnicy tej firmy nawet nie zażądali zapłaty za to grzebanie się w g..., traktując swoją pracę jako bezinteresowny wkład w ujęcie zabójcy niewinnej kobiety.

Wreszcie podejrzany oświadczył:

— Dajcie mi papier, chcę na piśmie złożyć prośbę do prokuratora, żeby mnie przesłuchał. Chcę się przyznać i szczegółowo opisać, jak było.

Dlaczego prośba na piśmie? Myślał, że umocni to jego akt skruchy, złagodzi wyrok. Tymczasem podczas kolejnego przeszukania znaleziono schowane w niedbale porzuconych w mieszkaniu spodniach 89 tys. zł, a potem jeszcze 47 tys., ukryte przez... matkę w słoiku, umieszczonym pod sufitem obory. W ten sposób kwota powiększyła się do 367 tys. zł. Mniej więcej tyle zrabowano na poczcie w Myśliwcach.

— Postanowiłem złożyć szczere wyjaśnienia. Otóż znajdowałem się w trudnych warunkach materialnych, nie miałem skąd oddać długów, bo zarabiałem tylko około 30 tys. miesięcznie. Tego dnia miałem zwolnienie lekarskie na zwichnięty bark. Gdy wstałem i ubrałem się, postanowiłem pójść na pocztę, by zatelefonować do Lublina do swojej dziewczyny. Gdy wyjmowałem notes, by zapisać numery telefonów do lubelskich hoteli, musiał mi wypaść ten cholerny kwit. Jak spisywałem numery, zauważyłem, że w szufladzie biurka są pieniądze, dużo pieniędzy. I wtedy pomyślałem o napadzie, naszły mnie takie myśli. „Gdybym miał te pieniądze, to mógłbym spłacić wszystkie długi i być porządnym człowiekiem..." — pomyślałem.

— Więc kiedy drugi raz szedłem na pocztę, by się dodzwonić do Lublina, postanowiłem zabrać ze sobą młotek, w celu ogłuszenia naczelniczki. Leżał on w szopie na ziemi, koło szrotownika, porządny młotek, walny, ważył ponad kilogram. Włożyłem go do plastykowej torby w kwiatki. Tuż przed pocztą na młotek nałożyłem rękawicę.

— Nie obserwowałem wcześniej poczty, po prostu wszedłem i już. Akurat żadnego interesanta nie było. Podszedłem tam, gdzie ona akurat siedziała, i z marszu natychmiast uderzyłem ją. Bez słowa rąbnąłem obuchem w tył głowy. Wstała, zaczęła krzyczeć z rękami uniesionymi do góry. Rękawica spadła z młotka, wy-

kazano mi opuścić zakład. Wyszedłem. W prokuraturze, do której się udałem, pouczono mnie, bym wrócił do zakładu. Portier powiedział, że ma polecenie niewpuszczania mnie do zakładu. W tej sytuacji zwróciłem się do prezesa, by mi udzielił urlopu aż do rozstrzygnięcia rewizji złożonej przez spółdzielnię do Sądu Pracy w Lublinie. Usłyszałem od prezesa, że urlopu nie dostanę, bo nie jestem już pracownikiem. A radca prawny poinformował mnie, że nawet gdybym wygrał rewizję, to i tak mnie zwolnią z pracy.

— Kiedy 4 lipca przyszedłem do pracy, kierownik M. przy moim nazwisku na liście obecności postawił czerwoną krechę z adnotacją „Zwolniony z dniem 3 lipca".

— Widocznie ktoś musiał jednak wytłumaczyć prezesowi, że to, co robi, jest bezprawne, bo został mi wreszcie udzielony urlop. Tymczasem wszystkim pracownikom spółdzielni zmieniono w ramach indeksacji wysokość poborów. Tylko nie mnie. Kiedy złożyłem do prezesa pismo o udostępnienie mi samochodu służbowego w celu odwiedzenia niewidomych chałupników, usłyszałem, że go nie dostanę, bo za droga jest benzyna. A na dodatek osoby, które kontaktowały się ze mną, zaczęły być po prostu szykanowane.

TEN młody, niewidomy mężczyzna kilkakrotnie podczas walnego zgromadzenia członków usiłował zabrać głos. Nikt go wtedy nie chciał słuchać. Krzysztof Nejman — kolejny „niepokorny" w tej spółdzielni. Został wybrany przewodniczącym „Solidarności". Czeka na uzyskanie przez związek osobowości prawnej. A wtedy:

— Jako związek będziemy chcieli zapoznać się z protokołem z ostatniej lustracji — mówi — zadbać o szarych ludzi. Będziemy chcieli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w spółdzielni wytworzyły się podziały na ludzi z ulicy Targowej, gdzie urzęduje kierownictwo spółdzielni, i na ludzi z zakładu przy ulicy 1 Maja, czyli nas. Odpowiedzieć również na pytanie, dlaczego doprowadzono do podziału na ludzi widzących — uprzywilejowanych, i niewidzących — dyskryminowanych. Dyskryminowanych również w sferze płacowej, jak chociażby pracownicy dziewiarni, którzy dają najbardziej zyskowną produkcję, zarabiają zaś najgorzej. Gdzie się te pieniądze rozchodzą? Ludzie w spółdzielni są manipulowani i boją się. Boją się na przykład kierownika M., który, jak mówią, ma w Biłgoraju wielkie układy. Boją się, że mogą być tak „załatwieni" jak Wójcik. A gdzie w Biłgoraju niewidomy z'ajdzie pracę? Mnie też usiłowano już zastraszyć. Jestem niewidomy i przechodząc przez halę produkcyjną, potrąciłem niechcący młodego, niewidomego chłopaka. Może zaregował zbyt nerwowo, ale tacy już jesteśmy — nerwowi — i rzucił we mnie wydzielaczem. Rozbił szybę w drzwiach. Odkupił zaraz tę szybę, ale mnie kierownik ukarał upomnieniem. Na szczęście prezes, do którego się odwołałem, anulował mi karę. To było szukanie „bata" na mnie za to, że ośmielam się mieć własne zdanie.

SPÓŁDZIELNIA „Tanew" nie przyjęła do wiadomości wyroku Sądu Pracy w Biłgoraju, uznającego za bezskuteczne wypowiedzenie Jerzemu Wójcikowi warunków pracy i płacy, i zaskarżyła wyrok do Lublina. Kiedy czytałam tę rewizję, napisaną w sposób absolutnie bełkotliwy, karkołomnie udowadniającą, że Jerzy Wójcik to co najmniej gangster szkodzący spółdzielni, a sąd w Biłgoraju w ogóle nie zna się na prawie, tak sobie myślałam: ile trzeba w ludziach nienawiści i złej woli, aby ze sprawy, której w ogóle mogło nie być, zrobić taką aferę, posuwając się przy okazji do metod... No właśnie.

Dopiero w sądzie ujawniono mechanizm, jaki wykorzystywano przeciwko Jerzemu Wójcikowi.

Zeznanie świadka: „Jestem całkiem niewidomy. Pierwsze pismo, które podpisałem, dotyczyło dalszego pozostawania w pracy kierownika P. Treść pisma czytała mi koleżanka... Następnego dnia chciano zrobić poprawki i kazano mi podpisać czystą kartkę. Koleżanka powiedziała mi, że mam podpisać czystą kartkę. Dopiero później dowiedziałem się, jaka była treść pisma, które podpisałem. W piśmie tym nie było nic na temat kierownika P., tylko na temat zwolnienia lektorki Jerzego Wójcika. Gdybym znał treść pisma, to bym go nie podpisał".

Sąd ustalił m. in.:

„W lipcu 1988 roku Teresa S. spo-rządziła dwa pisma kierowane do zarządu. W pierwszym pracownicy zakładu wnosili o pozostawienie na dotychczasowym stanowisku kierownika P. W kolejnym piśmie pracownicy uskarżali się na złą atmosferę pracy, obwiniając za to Jerzego Wójcika i jego lektorkę. Treść pierwszego pisma była czytana niewidomym. Następnie poproszono o podpisanie czystej kartki. Pisma powyższe redagowała Teresa S. z własnej inicjatywy, kierując się osobistym żalem i urazą do Jerzego Wójcika, za co później nawet go przeprosiła.

Powód był pracownikiem i jednocześnie członkiem spółdzielni, toteż jego stosunek pracy może być kształtowany tylko w oparciu o spółdzielczą umowę o pracę. Możliwość wypowiedzenia członkowi spółdzielni warunków pracy i płacy uregulowana jest w art. 184 § 1 prawa spółdzielczego, który wymienia teksatywnie przyczyny uzasadniające dokonanie przez spółdzielnię wypowiedzenia zmieniającego. A więc z przyczyn: 1) uzasadnionych potrzeb gospodarczych lub organizacyjnych spółdzielni, w szczególności między innymi koniecznością zatrudnienia na danym stanowisku osoby o wyższych lub specjalnych kwalifikacjach; 2) utraty przez członka zdolności do wykonywania dotychczasowej pracy.

Zdaniem sądu żadna z powyższych przesłanek nie została w przypadku powoda spełniona.

Wypowiedzenie dokonane J. Wójcikowi mogłoby znajdować uzasadnienie, jeżeli potwierdziłyby się zarzuty zawinionego przez powoda, niewłaściwego gospodarowania funduszem rehabilitacji bądź wywoływanie niekorzystnej, złej atmosfery pracy. Złożone w toku procesu pisma »załogi«, zarzucające powodowi »wtrącanie« się do spraw produkcji i wprowadzanie złej atmosfery pracy, w rzeczywistości nie były większości pracowników znane, nie można więc przyjąć, że odzwierciedlają rzeczywiste nastroje załogi.

Nie został również potwierdzony zarzut, jakoby powód w sposób niewłaściwy dysponował funduszem rehabilitacji. Kontrowersyjne decyzje, na które powód w ogóle nie wyrażał zgody bądź nie wiedział o ich podejmowaniu, podejmowane były przez kierownika działu, Janusza M. Dotyczyło to między innymi uposażeń pracowników przychodni, posługiwanie się przez Janusza M. imienną pieczątką powoda bez jego zgody.

Odwołanie członka zarządu nie może, zdaniem sądu, skutkować automatyzmem w postaci wypowiedzenia warunków pracy i płacy. Odwołanie członka zarządu nie narusza jego uprawnień wynikających ze stosunku pracy".

Sąd Pracy w Lublinie w pełni podzielił stanowisko sądu w Biłgoraju i rewizję spółdzielni „Tanew" oddalił.

Wyrok jest prawomocny.

— Zastanawiam się, co teraz wymyślą, aby mnie wyrzucić z pracy — mówi J. Wójcik. — Coraz bardziej czuję się osaczony. A do emerytury pozostało mi tylko dwa lata.

---

biłem szybę w drzwiczkach barierki, ale i tak nie chciały się otworzyć. Więc przeskoczyłem przez barierkę. Że ze zwichniętym barkiem? No, jestem wysportowany, trenuję różne dyscypliny w LZS... Ona uciekła pod okno i cały czas się darła. To wszystko działo się bardzo szybko. Uderzyłem dwa razy, z przodu głowy, powyżej czoła. Przewróciła się, a ja waliłem ją bez przerwy, aż przestała charczeć...

— Zamknąłem pocztę od wewnątrz i już na spokojnie wróciłem po forsę. Z blatu biurka wziąłem papier i wytarłem nim młotek, buty i spodnie. Żebym wyglądał jak człowiek, no nie? Nie bałem się odcisków palców, bo wszystko otwierałem i zamykałem w rękawiczkach, jak należy. Miałem dużo szczęścia, to fakt. No, bo jak spokojnie zamykałem pocztę z zewnątrz, to od razu trafiłem na właściwy klucz, a pęk kluczy był spory. Po drugie, nikt mnie nie widział. Po trzecie, szybko złapałem „okazję" do Chełma, i to akurat kierował ciężarówką kolega. Szedłem na całość i udało się. No i co z tego, że w biały dzień, we własnej miejscowości, w ruchliwym miejscu?

— Do Chełma dojechałem szczęśliwie. To bardzo przyjemne móc wydawać pieniądze. Kupiłem turecką odzież i perfumy dla narzeczonej, na prezent urodzinowy. Kiedy wróciłem, zapytałem rodziców, co się stało, że tyle milicji w naszej wiosce. Dlaczego kłamię, twierdząc, że chciałem tylko ogłuszyć naczelniczkę, która mnie przecież znała od dziecka? Nie kłamię. Ja myślałem, że jak ona straci chwilowo przytomność, to dostanie tak zwanej amnestii, czy jak tam, no, że straci pamięć o tym, kto ją napadł. No, a jak ona zaczęła się drzeć jak wariatka, to ja wpadłem w panikę i nie wiem, co się ze mną stało...

— W domu myślałem o samobójstwie, ale zwlekałem, bo chciałem jeszcze w sobotę pójść na zabawę, zabawić się jak człowiek, a potem to już się ostatecznie powiesić. Albo — w najgorszym przypadku — pójść na milicję. Dlaczego kolega w szoferce nie widział krwi na mnie? Może był mało spostrzegawczy. Mimo chęci samobójstwa prałem spodnie, by po mojej śmierci nie plotkowano, że to ja zrobiłem napad na pocztę...

Znów w Kocku

KANDYDAT WYCOFUJE SIĘ Z TEJ „PARODII"

Anna Mickiewicz

O GODZINIE jedenastej 12 listopada w budynku Urzędu Miasta i Gminy w Kocku mają miejsce najbardziej demokratyczne od kilkudziesięciu lat wybory naczelnika. Przy dwu stołach, ustawionych równolegle, siadają radni, przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego i „Solidarności" RI. Jest około pięćdziesięciu osób, twarze uczestników wyrażają pewne napięcie, wszyscy spoglądają na prowadzącego zebranie, który po krótkim wstępie mówi:

— Mamy trzech kandydatów; proszę, by każdy z nich krótko się zaprezentował. Żeby było sprawiedliwie, kandydaci będą prezentowali się alfabetycznie. Proszę o prezentację pierwszego kandydata.

Jest nim zastępca naczelnika, Henryk Jurkowski, mężczyzna w średnim wieku, w eleganckim garniturze, na palcu ma duży sygnet. Mówi głosem mocnym i zdecydowanym — o tym, że priorytetową sprawą jest gazyfikacja Kocka, a pieniądze na ten cel trzeba zebrać od ludności. Kolejny problem to budownictwo mieszkaniowe i drogowe. Mówi też, że trzeba pozyskać młodzież i powołać w Domu Kultury — Klub Miłośników Rady Narodowej Kocka.

Następnie zabiera głos drugi kandydat, były naczelnik, Ryszard Syta. Człowiek w okularach, trzymając w ręku kartkę, mówi:

— Kiedy zrezygnowałem z funkcji naczelnika, wszyscy mówili: „Chyba upadł na głowę, zostawia bagno". A ja mówię, że na głowę jestem zdrowy, a bagno można osuszyć. Mogę być energicznym organizatorem, wspierać inicjatywę społeczną.

— Pewnie będą gadali cały dzień — niepokoi się ktoś z sali, półgłosem.

— Proszę o spokój — mówi prowadzący. — Teraz zaprezentuje się trzeci i ostatni kandydat, reprezentant Komitetu Obywatelskiego, Janusz Świderski.

Jest to młody człowiek, w wieku dwudziestu kilku lat. Mówi dużo o sobie. Opowiada o tym, jak pracował w zakładach mięsnych i kopalni w 1980 roku, gdzie zakładał „Solidarność". Przedstawia długi program. Po pierwsze, trzeba usprawnić urząd i uwolnić go od ideologii. Po drugie, należy wprowadzić dyscyplinę pracy, trzeba zmienić też stosunek do petenta. Konkretne plany to budowa oczyszczalni ścieków, dróg, otworzenie prywatnego punktu sprzedaży mięsa. Przewiduje też stałe wydawanie „Gazety Kockiej", zaopatrzenie wsi w wodę przy wykorzystaniu pomocy Fundacji Kościelnej, uruchomienie młyna, wybudowanie prywatnej suszarni ziemniaków.

Tak kończy się prezentacja kandydatów na naczelnika. Prowadzący zwraca się do zebranych, by zadawali pytania kandydatom. Po długiej chwili milczenia głos zabiera młody człowiek, przedstawiciel „Solidarności" Rolników Indywidualnych:

— Słyszałem zarzuty wobec Świderskiego, że nie ma doświadczenia, a ja się pytam, czy Tadeusz Mazowiecki miał doświadczenie? Drugi zarzut to ten, że on nie wygląda jak naczelnik, nie chodzi w krawacie. To jest jego sprawa, jak on się ubiera, a poza tym spójrzcie na tych, co byli naczelnikami. Czy on jest do nich podobny? Nie, i ja się z tego cieszę. Chłopak ciężko pracuje przy pomidorach i dlatego nie ma wyglądu.

Wypowiedź ta wywołuje poruszenie na sali:

— No, ale on jest młody, nie skończył studiów.

— Ale przecież skończył technikum rolnicze.

Po chwili wstaje starszy człowiek w garniturze. Wyjmuje kolorową pocztówkę przedstawiającą Kock. Pokazuje ją wszystkim zebranym i mówi:

— Ja chcę, by Kock był taki, jak dziesięć lat temu, na tej widokówce.

Głosować mogą tylko radni. Jest czterdziestu trzech uprawnionych do głosowania. Wszyscy otrzymują kartki z nazwiskami kandydatów. Kartki ważne to takie, na których będą dwa lub trzy skreślenia. Po wrzuceniu kartek do czerwonej skrzyneczki zebrani opuszczają salę.

Przed budynkiem urzędu zbiera się grupa mężczyzn, pytają wychodzących:

— No jak było, kto wygra?

— Jak w Sejmie, kurna — odpowiada jeden z radnych.

Po kilkunastu minutach wszyscy zbierają się w sali obrad. Zostają odczytane wyniki: Jurkowski otrzymał dwanaście głosów, Syta trzynaście, a Świderski osiemnaście.

— Nikt nie zebrał bezwzględnej większości — oznajmia prowadzący. — Trzeba powtórzyć głosowanie.

Na sali robi się gorąco, dosłownie i w przenośni. Ktoś otwiera okno. W drugiej turze wyborów kandyduje tylko Syta i Świderski. Syta otrzymuje dwadzieścia głosów, Świderski dwadzieścia jeden. Nadal nie ma bezwzględnej większości.

— Co teraz, czy będziemy głosować cały dzień?

Wstaje młody człowiek i mówi:

— Trzeba głosować trzeci raz.

— Tak nie można — odpowiada zdenerwowany prowadzący. Bierze do ręki grubą księgę. Zawiera ona regulamin wyborów. Czyta:

— „Jeżeli w drugim głosowaniu żaden kandydat nie osiągnął bezwzględnej większości głosów, głosowanie odkłada się na następne posiedzenie rady narodowej, do tego czasu trzeba wybrać nowych kandydatów".

— Ale przecież ten regulamin można zmienić przez głosowanie, wprowadzając poprawkę, że w trzeciej turze zwycięża ten, kto osiągnie względną większość głosów. Jeżeli tego nie zrobimy, zostajemy w sytuacji patowej — stwierdza któryś z wyborców.

Prowadzący prawie krzyczy:

— Ustawy tej nie można zmienić!

W tym momencie wstaje kandydat Syta i mówi:

— Wycofuję swoją kandydaturę z tej parodii.

Wypowiedź ta wywołuje burzliwe oklaski. Prowadzący zamyka posiedzenie. Zebrani rozchodzą się w ciszy. W budynku Urzędu Miasta i Gminy Kock pozostaje tylko dym z papierosów — świadectwo niedawnych napięć. Następna lekcja demokracji odbędzie się najdalej za trzy miesiące...

Azerbejdżan

MIĘDZY PRAWDĄ A NIENAWIŚCIĄ

Adam W. Kulik

ORMIANIE masowo przybywali na nasze ziemie od 1813 roku, uciekając przed prześladowaniami w Iranie i Turcji — mówi Hidajat.

— Profesor Świętochowski twierdzi, że Rosja, która już wówczas usadawiała się na tych terenach, bardzo chętnie ich widziała.

— Oczywiście! Przede wszystkim byli to chrześcijanie, ich pozycja materialna, częstokroć bardzo wysoka, sprawiała, że potrafili uzyskać od Rosjan specjalne ulgi — znajdowali się pod opieką carskich urzędników.

— Gruzini też byli chrześcijanami...

— Byli, tyle że nie korzystali z żadnych przywilejów, co budziło ich sprzeciw. Rosja potrzebowała Ormian: ważniejszą część handlu dzierżyli w swoich rękach, oni kontrolowali w dużej mierze przemysł naftowy w Baku, służyli w carskim wojsku. Nawet fakt, że roztacza opiekę nad uciekinierami ze Wschodniej Anatolii, leżącej wówczas w obrębie imperium osmańskiego, potrafiła zdyskontować w wewnętrznej polityce.

Mój rozmówca niecierpliwił się — dla niego najważniejsza, najbardziej bolesna historia rozegrała się po ostatniej wojnie światowej, i o tym przede wszystkim chciał mówić.

WKILKA dni po naszej rozmowie otrzymałem obiecane materiały, m. in. 3 numer „Izwiestii" Akademii Nauk Azerbejdżańskiej SSR — na stronach 42—43 Ch. D. Chelilow szczegółowo naświetlił problem etnicznego rozwarstwienia Nagornego Karabachu.

W 1823 roku żyło tam 20 095 rodzin, w tym 15 729 azerbejdżańskich i 4 366 ormiańskich (rodziny muzułmańskie, a więc azerbejdżańskie, charakteryzują się o wiele większą liczebnością niż chrześcijańskie).

W latach 1825—26, podczas wojny irańsko-rosyjskiej, przesiedlono do Karabachu 18 000 Ormian, w wojnę turecko-rosyjską (1828—30) dalszych 84 000. Jednocześnie w tym samym okresie w guberni jelizawietpolskiej, tj. w okolicach Gjandży, bo tak Rosjanie przechrzcili to stare miasto, osiedlono oficjalnie 124 000 Ormian, faktycznie zaś 200 000.

Wojna rosyjsko-turecka z lat 1877—79, pamiętana w Polsce głównie dlatego, że brał w niej pośrednio udział czołowy bohater „Lalki" Bolesława Prusa, wyrzuciła na Zakaukazie, tzn. do Gruzji i Azerbejdżanu, dalszych 85 000 Ormian. Rok 1894 wypędził z Turcji ponownie na Zakaukazie kolejnych 90 000, w trzy lata później jeszcze 10 000. Do 1896 roku w sumie na terenie Gruzji i Azerbejdżanu osiedliło się 900 000 Ormian, wygnanych z Iranu i Turcji. W 1908 było ich już 1 300 000.

Na terenie Karabachu w 1897 r. podział utrzymywał się z wyraźną korzyścią dla Azerbejdżan (29 350 rodzin azerbejdżańskich i 18 616 ormiańskich), w 1917 r. Azerbejdżan w tym rejonie żyło 317 861 ale Ormian już 243 627, dziś Azerbejdżanie stanowią tam 30—40 proc.

— Zaczęło się po II wojnie światowej — opowiada Hidajat. — Pierwszy etap to lata 1948—51, w których Ormianie oczyścili Erewan i okolice — jak wspomniałem wcześniej, centrum żyjących w Armenii Azerbejdżan. Nie pozostawili tam ani jednego Azerbejdżanina! A przecież pierwszymi sekretarzami rajkomów w Zangibasar, Vedi, Kamerli byli Azerbejdżanie! Zangibasar teraz nazywa się Masis; miasto Vedi, które po azerbejdżańsku znaczy dolina, nazwali Araratem. Wypędzono wówczas z Armenii 150 000 Azerbejdżan. Oficjalnie podano powód taki, że dla wracających z zagranicy Ormian nie wystarcza ziemi. Na rozkaz Stalina zabrali nasi wszystko ze sobą i przyjechali tutaj — prosto z czystych, chłodnych gór, z doliny ararackiej do miejsc o gorącym, półpustynnym klimacie. Wielu umarło, chorowało — nie mogli przyzwyczaić się. W rejonie Zangibasaru nie mieszka ani jeden z Ormian, którzy wrócili. Duże połacie terenu zostały bez ludzkich siedlisk — oni nie są nawet posterzy, rolników, jak my. Wybierają miasta i związane z nimi zawody.

— Drugi etap przypadł na początek lat 60. Bez żadnych ustaleń, dokumentów, decyzji KC KPZR Ormianie wywierali różnego rodzaju naciski, represje na mieszkających w Armenii Azerbejdżan. Zdejmowali urzędników z ważnych stanowisk bez podawania przyczyny i mianowali swoich, ograniczali nakłady gazet i książek azerbejdżańskojęzyczny „Soviet Ermenistany" np., wychodzący pięć razy w tygodniu, został ograniczony do trzech numerów tygodniowo. Zabrali pomieszczenie naszemu teatrowi, chociaż uprzednio mieścił się w tym samym budynku co ich teatr; dla naszych młodych specjalistów, tam żyjących od dziada pradziada, po szkołach specjalistycznych i wyższych nagle zabrakło miejsc pracy. Oni tam nie mogli żyć, rozpierzchli się po republikach, część przyszła do Azerbejdżanu. Rozbili naszą młodą inteligencję.

— I wreszcie trzeci etap: tylko trzy dni. Straszne trzy dni między 22 a 25 listopada 1988 roku — wygnali w tym czasie 180 000 ludzi! Tego nie potrafili nawet hitlerowcy. To masa ludzi — wszystko musiało odbywać się według napisanego wcześniej scenariusza, opracowanego w każdym detalu. Przy znakomitym przygotowaniu i organizacji.

— Ludzie zostawili nawet psy przywiązane, które zginęły z głodu — nikt ich nie spuścił ani nie nakarmił. Uciekali w jednej koszuli, jak stali! Trzodę Ormianie wyrżnęli i zjedli. Kogo zabili, to zabili, ale wykłuwali oczy, wypalali je papierosami, obcinali palce, potrafili na oczach rodziny nabić na widły dziecko i dorżnąć. Wszystko po to, żeby szerzyć panikę, żeby ludzie zapamiętali na całe życie. Nasi przyjeżdżają tutaj chorzy psychicznie...

— Teraz — wtrąca Arif — potrafią spijać żołnierzy, bratać się z nimi. Oddawać im nawet kobiety — pojmujesz?

— Tak.

— Potem przebierają się w ich mundury i strzelają do naszych. Nikt nie chce walczyć z wojskiem radzieckim, dodatkowo paraliżuje strach: czerwonoarmiejcy przeciwko nam!

— Polacy znają podobne sytuacje ze strony Niemców czy Ukraińców, ale to było pół wieku temu. Świat się zmienił.

— Nie tutaj. Niektórzy przesiedleńcy z Armenii kupili domy, inni żyją w namiotach, w bieda-szopach. Oni nie pozwolili naszym nawet się ubrać, a teraz, bojąc się odwetu, wyprzedają tutaj wszystko i wyjeżdżają, zabierając cały dorobek.

— Przecież macie swój rząd, prasę, telewizję, jest milicja, wojsko.

— W żadnej z republik nie ma narodowej armii ani milicji. Bieda w tym, że wszyscy w prasie rosyjskiej piszą o problemie z pozycji Ormian. Dziennikarze przyjeżdżają tu, niby widzą, zgadzają się, a potem piszą co innego. My u siebie piszemy prawdę, ale jaki to ma oddźwięk? Telewizja zdejmuje reportaże — niedawno był robiony o tym, jak kolumna wojskowa wiozła broń z Armenii do Karabachu, wojsko i milicja, zamiast ją skonfiskować, strzelały do ludności

— Sami zadajmy sobie pytanie — mówi Hidajat w zadumie — gdzie rząd, gdzie nasze wojsko, milicja? Niedawno wyjdzie moja książka o rodzinnym mieście Megri. Opisuję, jak było, bez przekłamań. Jestem we wszystkim obiektywny.

— Swoista forma podziękowania za te kilkaset lat życia razem. Za udzielanie schronienia...

— Jakiego schronienia? Przecież Karabach, jeden z najlepiej rozwiniętych rejonów Azerbejdżanu, centrum ziem tego państwa, „jest ich!" Baku też ich, Nachiczewan będzie ich — jeździ się tam tylko samolotami. Pociągi, autobusy obrzucane są kamieniami, bombami. Nawet chleb dowozi się tam helikopterami.

— Dziewięćdziesiąt procent imion ormiańskich jest pochodzenia azerbejdżańskiego, to łatwe do ustalenia — bada się pochodzenie rdzenia, z jakiego jest języka. Używają imion naszych od Murata po Magomira, ale to są ich imiona.

— Słyszał pan o Sumgaicie? W lutym ubiegłego roku wybuchła tam awantura. Bili się Ormianie z przesiedlonymi Azerbejdżanami, zginęło 28 Ormian i 4 Azerbejdżan. W czasie śledztwa wyszło na jaw, że pięciu z owych dwudziestu ośmiu zabił Ormianin nazwiskiem Gregorian. W świat idzie informacja, że my zabijamy.

— W centrum Baku stoi armeński kościół. Stoi dosyć długo, ale ostatnio zaczął się zapalać. Jak pan myśli, kto go podpala, skoro Azerbejdżanie pilnują go przed podpalaczami?

Chcę się zdziwić, ale przecież nad Wisłą ledwie wczoraj oglądaliśmy takie same metody.

— Obiecałem, że lekcja będzie ciekawa. Samoloty przywożące broń do Armenii powinny być kontrolowane przez ministerstwo obrony, KGB, spec-służby. Okazuje się, kontroli nie ma, skąd bowiem biorą się najnowsze modele broni amerykańskiej, francuskiej, niemieckiej u Ormian? Znam charakter tego narodu — kończy Hidajat. — Oni nie uspokoją się. Tu potrzebny mocny kułak. Ale my wojny nie chcemy.

— Cały świat użala się nad ciężką dolą ormiańskiego narodu. Sam, jadąc tutaj, trzymałem ich stronę, nie waszą.

— Tu jest sedno sprawy: mają swoich ludzi wszędzie. W ZSRR zobaczy ich pan w każdej gazecie, wydawnictwie, są w KC KPZR. My swoich tam nie mamy.

SŁUCHAM i nagle bezradność przebijająca z ich słów zaczyna mnie irytować: są dorosłymi mężczyznami, intelektualną czołówką narodu. Albo nie chcą im powiedzieć wszystkiego, albo to pokolenie zostało tak sprane przez życie, że nie starcza siły i woli na działanie.

Próbuję nabrać dystansu, ochłonąć, ale „Historia Azerbejdżanu" autorstwa Bohdana i Krzysztofa Baranowskich, która dotychczas służyła mi za przewodnik, nie podeprze się: pierwsza wzmianka o „odwiecznych antagonizmach" ormiańsko-azerbejdżańskich pojawia się przy roku 1905 z okazji omawiania ruchów rewolucyjnych w Baku.

— Wiesz kto to są Żydzi? — pyta Arif.

— Wiem. Przed wojną żyło ich w Polsce trzy i pół miliona

— W Rosji popularne jest przysłowie: gdzie żyje Ormianin, Żyd nie ma nic do roboty.

To by się zgadzało: żadnemu Żydowi nie przyszło do głowy ściągnąć te trzy miliony w okolice Krakowa, Lublina czy Łodzi i postarać się o autonomię, a potem ewentualnie proklamować Nową Palestynę. Brzmi to jak głupi dowcip, ale ten dowcip w Azerbejdżanie jest zbyt dosadną rzeczywistością.

— Panowie — mówię — napiszę uczciwie, ale jestem dziennikarzem — moim obowiązkiem jest poznać rację drugiej strony. Na pewno macie znajomych, może nawet przyjaciół wśród Ormian — proszę o zaaranżowanie spotkania.

Przez cały czas mojego pobytu w Baku do takiego spotkania nie doszło. Mogłem je przeprowadzić — drzwi w drzwi z Arifem mieszkało mieszane, rosyjsko-ormiańskie małżeństwo, lecz do dziś jestem przekonany o słuszności tamtego wyboru, czysto ludzkiego nad — nazwijmy to — zawodowym.

ZEMA przedstawia napięty program spotkań, ale udaje się nam uciec do miasta: chcemy posmakować architekturę starego Baku, zaciągnąć się Wschodem, poszukać śladów Polaków.

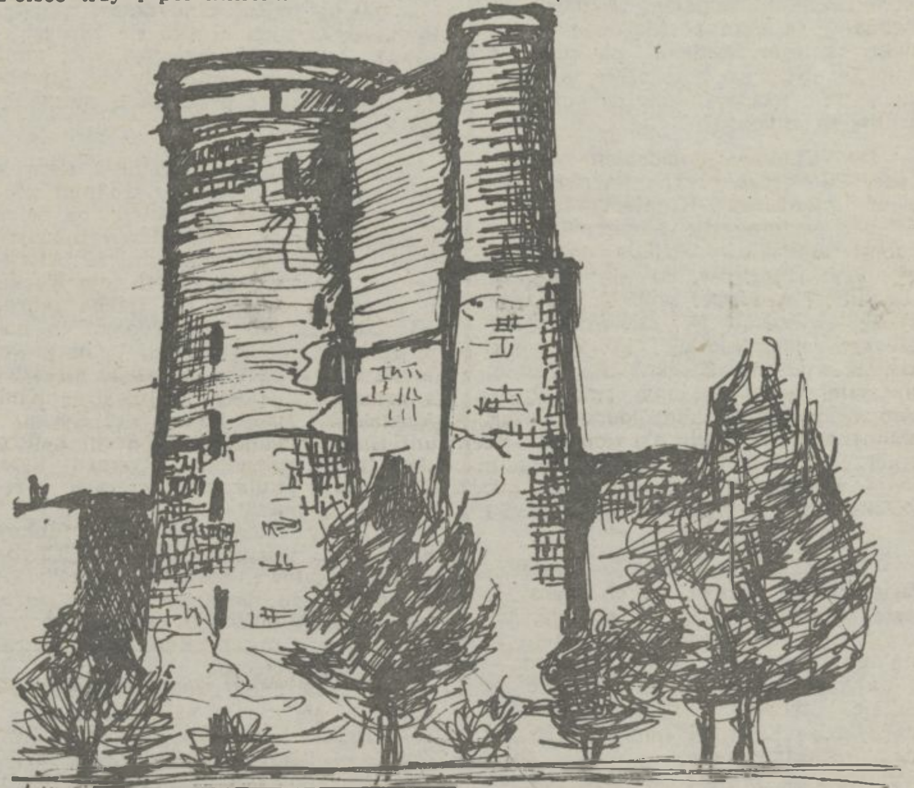
Po powstaniu listopadowym w garnizonach rosyjskich na Kaukazie i Zakaukaziu stanowili prawie jedną czwartą obsady. Wielu z nich pozostawiło wspomnienia, do dziś często nie wykorzystane przez naukę, niektórzy wiersze, nawet powieści.

Aleksander Chodźko dwanaście lat przepracował na posadzie tłumacza w konsulacie rosyjskim w Tebrizie. Udając się tam, zahaczył o Baku, czego efektem był cykl reportaży drukowanych w „Literaturnoj Gazetie" w 1830 roku; pisał m.in. o zabytkach, legendach bakińskich, także związanych z Wieżą Dziewczęcą, jednym z najefektowniejszych elementów architektonicznych Starego Baku. W roku 1842 wydał w Londynie książkę zawierającą legendy i pieśni ludów irańskich, ale także i Azerbejdżan — praca była pionierska; studia turkologiczne i iranistyczne na Zachodzie miały się rozwinąć za jakieś 30 lat.

W latach 1939—42 na Kaukazie służył inny literat, Tadeusz Łada-Zabłocki. Bywał w niezbyt odległej od Baku Szemasze — stolicy państwa szirwanszachów, które zaimponowało mi mądrością swoich władców pozwalającą na takie lawirowanie pomiędzy ścierającymi się potęgami, iż potrafili przez wieki całe zachować niepodległość i dobrobyt państewka. Łada-Zabłocki tłumaczył ludowe teksty azerbejdżańskie, opublikowano je w wileńskim piśmie „Rubon" w roku 1849. Niektóre z nich nie zachowały się do dziś w samym Azerbejdżanie, znane są tylko z polskich tłumaczeń — i to jest miara tylko niektórych dokonań młodych, polskich zesłańców.

Z ochotą ruszyłbym śladami Chodźki czy Łady-Zabłockiego, ale oprócz błogosławieństwa potrzebne są jeszcze pieniądze. Po drodze przyszłoby pewnie przejść na islam, lecz czy dobry reportaż nie jest tego wart?

(Koniec odcinka 4. — cdn.)



Wieża Dziewczęca Rys. Małgorzata Kulik

ZOMO ALBO PRZERWA W PAŁOWANIU

Marek Podgajny

OD 7 września 1989 roku pałowanie zostało zawieszone. Dowcipni twierdzą, że ci, których bito, są teraz u władzy, więc ZOMO z braku zatrudnienia musiało ulec likwidacji. Czy takie były powody, trudno dociec.

Generał Zenon Trzciński, komendant główny MO, specjalnym rozkazem rozwiązał te jednostki, a w ich miejsce powołał w 22 województwach oddziały prewencyjne MO. Ale czy nie chodzi tylko o zmianę szyldu?

Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej, choć utworzone w 1956 roku, pozostawały „w ukryciu" praktycznie do pamiętnej wiosny 1968 roku. Potem ZOMO pojawiało się „okazjonalnie" na ulicach w 1970 i 1976 r., aż wreszcie — od roku 1980 — na stałe weszło do polskiego krajobrazu uliczno-politycznego.

Do tej pory w województwie lubelskim znajdowały się dwie kompanie ZOMO, liczące razem 160 funkcjonariuszy. Istniały one nie na zasadzie jednostek skoszarowanych, lecz normalnej służby. Funkcjonariusze ci podzieleni byli na komisariaty i poszczególne rejonowe urzędy spraw wewnętrznych, a w razie potrzeby zbierani w zorganizowane oddziały. Do południa pełnili obowiązki w swoich rejonach, potem „trzymali" specjalne dyżury.

Sił ZOMO używano niemalże do wszystkiego; kiedy wylała woda i kiedy wybuchł duży pożar. Zomowcy zapewniali ochronę na imprezach sportowych, a szczególnie na meczach piłki nożnej. Uczestniczyli w poszukiwaniach zaginionych dzieci i w innych operacjach zakrojonych na szeroką skalę. Brano ich nawet na akcje żniwne, prowadzone pod szumnymi hasłami typu: „Milicja niesie pomoc rolnikom".

Ale w ostatnich latach jednostki te miały najwięcej roboty na ulicach miast i w fabrykach. Uliczna rymowanka: „Ani ixi, ani Omo, nie wypierze tak jak ZOMO" przystawała do naszej rzeczywistości jak mało która. Oddziały te pod względem sprawności i wyszkolenia nie miały w Polsce Ludowej sobie równych.

— Zlikwidowanie ZOMO, a powołanie oddziałów prewencyjnych jest dla naszego województwa niekorzystne — twierdzi ppłk Andrzej Koczwarski, zastępca szefa WUSW w Lublinie. — W naszym regionie utworzono trzy takie kompanie w sile 400 ludzi. Jedną przydzielono do Lublina, pozostałe do Zamościa i Tarnobrzega. Na tej zamianie straciliśmy, bo jest po prostu mniej funkcjonariuszy. I tak już mamy w województwie 600 nie obsadzonych etatów, kiedy, na przykład, RUSW w Puławach liczy 150 pracowników. Łatwo więc wyobrazić sobie skalę pustek w komisariatach i brak milicjantów na ulicach. To tak, jakby cztery miasta wielkości Puław były bez milicji.

W styczniu przyszłego roku rozpocznie się pobór do wojska. Chętni do odbycia zastępczej służby wojskowej w milicji skierowani zostaną do nowo powstałych oddziałów prewencyjnych. Tam — ośmiogodzinna służba, jeden, dwa dni w tygodniu szkolenia w zakresie prawa i przepisów obowiązujących funkcjonariuszy MO, zarobki na poziomie wojskowego żołdu. Podpułkownik Koczwarski obawia się tylko, żeby do tych jednostek nie trafiali ludzie podobni tym, którzy w Gdańsku, w kościele św. Brygidy, pobili człowieka i zbezcześcili miejsce kultu. Tamci byli właśnie poborowymi, odbywającymi służbę zastępczą w ZOMO. Czy do końca można przewidzieć, jak zachowa się człowiek, któremu da się mundur, pałkę do ręki i powie się, że reprezentuje władzę na ulicy?

— W pionie prewencyjnym pracuje dzisiaj około 60 proc. wszystkich funkcjonariuszy — mówi podpułkownik Koczwarski. — Są to ci, którzy stanowią obsadę komisariatów, radiowozów i patroli na mieście. Pozostała część to służba kryminalna, dochodzeniowo-śledcza, ruch drogowy i wydział przestępstw gospodarczych. Lubelska służba bezpieczeństwa z siedmiu dotychczasowych pionów zachowała trzy. Obecnie pracuje tam niespełna jedna dziesiąta spośród około trzech tysięcy funkcjonariuszy WUSW.

Taki jest potencjał naszej milicji. Możliwości „drugiej strony" są znaczne. Jednej tylko doby, 22 października br. (niedziela) dokonano w województwie lubelskim 19 włamań na szkodę osób prywatnych, włamano się do 27 samochodów, z czego 2 skradziono. Dokonano również kilku rozbojów w centrum Lublina. Drobnych utarczek na zabawach, nie zgłoszonych pobić i domowych awantur oraz pozbieranych do izby wytrzeźwień pijaczków nikt już nie liczy.

◆

Milicjanci, z którymi rozmawiałem, prosili o niepodawanie ich nazwisk. Do niedawna byli ZOMO-wcami. Teraz pracują w kompanii patrolowej RUSW w Lublinie. Tego się nie wstydzą i nie to było powodem próśb o zachowanie anonimowości. Wystarczy, że ich koledzy, milicjanci z Piekar Śląskich i Lubińca, publicznie wystąpili z własnym zdaniem i opinią na temat pracy w MO. Moi rozmówcy może nie ze wszystkimi ich poglądami się zgadzają, ale z większością — na pewno.

Zawody mają atrakcyjne i popłatne. Jest wśród nich zbrojarz-betoniarz, ślusarz, metaloplastyk: jeden zaocznie kończy szkołę średnią. Staż pracy w MO mają kilku-, kilkunastoletni. Nie mają wolnych sobót i świąt, o każdej porze mogą być wyrwani z domu. „Gliniarze" — mówi o nich ulica.



Fot. Waldemar Stępień

— Czy ZOMO było potrzebne? To zależało wyłącznie od sytuacji politycznej w kraju. Reagowaliśmy niczym barometry. Były okresy, gdy siedzieliśmy w pogotowiu przez cały czas, czekając na rozkaz wyjazdu. To, jak nas widziała ulica — zależało od polityki uprawianej w tamtych latach przez władzę. Naszym zadaniem było powstrzymywanie lub przerywanie działań zakłócających porządek publiczny. O tym, czy interweniujemy i w jaki sposób, decydowała oczywiście góra, a nie my. Wszystko wyjaśniają dwa słowa: służba i rozkaz.

— W stanie wojennym współdziałaliśmy z oddziałami wojskowymi. Podczas akcji, głównie na terenie zakładów pracy, zobaczyliśmy, jaka jest różnica między ZOMO a wojskiem. O wojsku robotnicy mówili, że jest „nasze", wojsko częstowali zupą, herbatą, a nawet obdarowywali kwiatami. Nas obrzucano jeżeli nie kamieniami, to przekleństwami. Pamiętam, że kordony złożone z żołnierzy rozstępowały się pod naporem tłumu. Nasze musiały trzymać się do końca. Baliśmy się wtedy, aby żołnierzom nie odebrano broni, która mogła być skierowana przeciw nam. Kto jest winien, że prestiż i szacunek wobec milicjanta jest mniejszy, niż wobec żołnierza? Przecież tu i tam są tacy sami ludzie. A może to zasługa polityki prowadzonej wobec społeczeństwa w taki, a nie inny sposób? Ktoś po prostu obrzydził ludziom wizerunek milicjanta. No, czy przechodzeń, widząc pijanego wojskowego, reaguje tak samo jak na widok wstawionego gliniarza?

— Szkolenie w ZOMO, choć obejmowało także poznanie przepisów, skupiało się przede wszystkim na zajęciach w-f, ćwiczeniach sprawnościowych, poznaniu i zgraniu się ze sobą podczas pozorowanych działań. Była też musztra, robienie kordonów, zapór i innych żywych murów nie do przebycia. Kilkunastu zwykłych milicjantów nie mogło się równać z drużyną lub plutonem ZOMO. Dlatego to właśnie my byliśmy wysyłani „na miasto", a nie koledzy z najbliższego komisariatu. Często obywało się bez interwencji. Pokazaliśmy się tylko, postaliśmy. Były przypadki, że nasza obecność była niepotrzebna, tylko prowokowała, drażniła.

— Na świecie do tłumienia nielegalnych demonstracji i zgromadzeń używa się specjalnych, nic wspólnego nie mających z policją jednostek, a nawet wojska. Policja zajmuje się ściganiem przestępców, a nie ganianiem po ulicach. W Polsce za uliczne zadymy obarcza się milicję, tak jakby miała mało roboty.

— Czasy nastały takie, że milicjant musi się poruszać jak w składzie z porcelaną. Patrole zaczepiane są niewybrednymi wyzwiskami, mają trudności z wylegitymowaniem podejrzanych osobników, nie mówiąc już o użyciu pałki w razie potrzeby, bo przechodnie zaraz uznają to za zamach na wolność obywatela. A taki zatrzymany łobuz wykorzystuje sytuację i krzyczy, że biją solidarnościowca. I tłum się za nim ujmuje!

— Podczas służby oczy musimy mieć otwarte na wszystkie strony. To po prostu ciężka i niewdzięczna praca. Brak pomocy ze strony ludzi, zainteresowania, nie ma szacunku i respektu przed milicyjnym mundurem.

— My naprawdę nie chcemy, aby obywatel bał się nas i schodził nam na ulicy z drogi. Bać się ma łobuzeria, pijaczkowie i wystające na rogach obszczymurki, rozglądające się za łatwym groszem. Ale, żeby tego dokonać, musimy mieć w rękach pewną siłę, dysponować aparatem prawnym, pozwalającym na bezpardonowe postępowanie z notorycznymi bandziorami i złodziejami.

— Niedawno złapaliśmy małolata, który miał na swym koncie kilkanaście kradzieży. Prokurator wypuścił go z aresztu następnego dnia po zatrzymaniu. Kolejne amnestie powodują, że recydywa śmieje nam się w nos. Mecenasi za duże pieniądze załatwiają swoim klientom śmiesznie niskie wysoki, a my wciąż mamy ręce pełne roboty...

— Starą nyską nie dogoni się uciekającego mercedesa. Nie wiem, na co idą pieniądze z budżetu MSW. Tu, na dole, jest ich za mało.

◆

Nikt już nie kryje, że resort MSW także wymaga „pieriestrojki". Mamy nowe czasy, lecz wciąż brakuje nowego myślenia. Ci sami ludzie zajmują wysokie stanowiska, wydają te same rozkazy.

Policje wszystkich krajów są podobne, tak jak ich struktury i zadania. Jedne są bardziej upolitycznione i związane z aparatem władzy, inne mniej. Jedne są bardziej skuteczne i lepsze, inne nie. To, że nasza jest obywatelska, niczego nie zmienia.

Federacja Młodzieży Walczącej to jedno z bardziej znanych ugrupowań młodzieżowych, radykalne, o charakterze niepodległościowym. Zawsze podczas swych manifestacji napotykała na siły porządkowe.

Wiesław Gęsicki (FMW) w wywiadzie prasowym powiedział:

— My nie prowokujemy, lecz tylko demonstrujemy poglądy. Gdyby sytuacja była normalna, jak w krajach Europy Zachodniej, bylibyśmy podczas manifestacji chronieni przez milicję, a nie bici. Organizujemy różne manifestacje z różnym skutkiem, za które nie zawsze możemy brać odpowiedzialność. Prawdziwa odpowiedzialność spada bowiem na władzę, która przeciw demonstrantom wysyła uzbrojonych ludzi.

— Już dawno temu upewniłem się w sprawie prowokowania zajść przez oddziały ZOMO lub funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu, a zmieszanych z tłumem — mówi mecenas Tomasz Przeciechowski, sekretarz Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" w Lublinie. — Widziałem napaści milicjantów z ZOMO na obywateli, którzy nawet nie uczestniczyli w zgromadzeniach określanych jako nielegalne. Na ulicy Chopina, na moich oczach poturbowane zostało starsze małżeństwo, idące w kierunku śródmieścia, a które natknęło się na biegnących ZOMO-wców. Podobne przypadki miały miejsce jeszcze w ubiegłym roku oraz w latach wcześniejszych w okolicach kościoła Jezuitów, Placu Litewskiego i w innych miejscach, szczególnie w centrum miasta. Znany jest przypadek wrzucenia granatów z gazem łzawiącym do prywatnego mieszkania na I piętrze w budynku przy ul. Narutowicza. W 1983 lub w 1984 roku wrzucono taką petardę na oddział dermatologiczny szpitala przy ul. Dymitrowa. Jednoznacznie świadczy to o tym, że milicja nie przebierała w środkach. Łapano młodzież do radiowozów i milicyjnych bud, bito; na podstawie zeznań funkcjonariuszy stawiano przed kolegiami. W czasie stanu wojennego były przypadki dokonywania przez patrole milicyjne przestępstw pospolitych. Mam zeznania poszkodowanych, były sprawy sądowe, posiadam dowody i relacje z innych zajść. Wszystkie te działania były bezprawne, ale nie można mieć pretensji tylko i wyłącznie do samego ZOMO. Tu winę należy rozłożyć. Ktoś przecież wydał instrukcje, ktoś inny rozkazy.

— Jak zareagowałem na wiadomość o likwidacji ZOMO? Doceniam inicjatywę pana Kiszczaka, ale czekam na efekty tej zmiany, sama likwidacja to za mało, oby nie była to tylko zmiana szyldu — stwierdza na koniec mecenas Przeciechowski. — Niech zmieni się zakres zadań milicji, niech chodzą po ulicach i strzegą bezpieczeństwa obywateli, a nie czatują w radiowozach, patrząc, czy ktoś nie składa wiązanek pod pomnikiem Konstytucji 3 Maja.

◆

Autor poniższej wypowiedzi w 1981 roku został zmobilizowany i skierowany do służby w ZOMO. Przez osiem miesięcy nosił mundur i karabin na plecach:

„Gdy staniesz w kordonie na ulicy i chwycisz swych kolegów z tyłu za pas, masz wtedy jeszcze dwie możliwości. Uciec, rzucając kask i pałę, albo zostać na miejscu, zdecydowany na wszystko. Kiedy tamci, machając transparentami, podchodzą bliżej, ty coraz wyraźniej słyszysz ich głos, rozróżniasz już wykrzykiwane hasła, widzisz ich twarze. Wtedy czujesz, jak twoje serce przyspiesza, ręce mimowolnie pocą się, choć wcale nie jest ciepło. W myślach możesz jeszcze liczyć dzielące was metry, ale na ucieczkę za plecy kolegów jest już za późno. Raz, że rozsypałby się kordon, dwa — tamci, widząc, że jeden z gliniarzy ucieka, ruszyliby szturmem.

Przez chwilę wy i oni stoicie naprzeciw, mierzycie się wzrokiem. Kto się przelęknie pierwszy? Kto zrezygnuje? Jeżeli zrobią jeszcze krok, dwa, wtedy wy zewrzecie swe szyki jeszcze bardziej. Jeżeli polecą kamienie, wy sięgniecie po tarcze, potem po pałki... Aż padnie rozkaz waszego oficera. Naprzód! Teraz nie jesteś już w stanie myśleć, kto ciebie atakuje i dlaczego ty atakujesz innych. Słyszysz tylko, że jesteś gestapowcem, czujesz, że tamten chce cię zranić, widzisz, jak kolega obok dostał granitową kostką wyrwaną z ulicznego bruku. Wraz z innymi ruszasz się wtedy w tłum, wzrokiem szukasz tych, którzy wcześniej utkwili ci w pamięci. Jak zaszczuty napierasz do przodu, potem bijesz już tylko na oślep".

JUGOSŁOWIAŃSKIE OSTRZEŻENIE

Dokończenie ze str. 1

ju, chociaż nie zdołały się jeszcze przerodzić w trwały system. Dlatego też postanowiono zerwać ze stalinowskim modelem industrializacji i przystąpić do budowy socjalizmu opartego na formule „trzech D": decentralizacji, debiurokratyzacji i demokratyzacji.

Przekładając to hasło na język konkretów, zamierzano zbudować system społeczno-ekonomiczny oparty na decentralizacji zarządzania gospodarką, zastąpieniu decyzji administracyjnych regulacją rynkową oraz demokratyzacji stosunków społeczno-politycznych. Jednocześnie zaczęła krystalizować się idea samorządności, jako podstawy organizacji społeczeństwa i gospodarki oraz ułożenia wzajemnych stosunków między poszczególnymi podmiotami i ich grupami.

◆

Przez następne 25 lat jugosłowiański system ekonomiczny przechodził ewolucję. Kolejne reformy polegały — mówiąc najogólniej — na rozszerzaniu zakresu regulacji samorządowych w gospodarce. Szczególne nasilenie tego procesu przypadło na lata siedemdziesiąte i początek lat osiemdziesiątych. Stworzono wówczas system określany przez samych Jugosłowian jako socjalistyczna gospodarka samorządowa o charakterze towarowym. Jakie były podstawowe założenia tego modelu?

Jugosłowiańska teoria ekonomiczna szczególnie eksponuje znaczenie dwóch kategorii ekonomicznych: własności środków produkcji i dochodu. Społeczna własność środków produkcji jest jednak w gospodarce samorządowej rozumiana inaczej niż w innych krajach socjalistycznych. Tym ostatnim zarzuca się, że prywatnych właścicieli zastąpiły funkcjonariuszami państwowymi, którzy stali się faktycznymi dysponentami społecznych środków produkcji. Powoduje to utrzymanie systemu klasowego opartego na podziale społeczeństwa na posiadaczy (dysponentów) i nie posiadających środków produkcji, z wszelkimi dalszymi konsekwencjami tego stanu rzeczy. W gospodarce samorządowej nie ma natomiast ani właścicieli indywidualnych, ani kolektywnych. Środki produkcji są własnością całego społeczeństwa i zostają jedynie oddane w użytkowanie przedsiębiorstwom, przez co jednak nie dochodzi do ukształtowania się własności kolektywnej.

Również dochód powstały przy wykorzystaniu społecznych środków produkcji jest własnością społeczeństwa. Stanowi on główny cel działalności jednostek i organizacji gospodarczych. Podstawowym podmiotem procesu gospodarowania są kolektywy pracownicze, które samodzielnie podejmują decyzje co do sposobu wykorzystania majątku produkcyjnego i podziału wygospodarowanego dochodu.

Tak daleko posunięta samodzielność organizacji gospodarczych nie oznacza jednak ich pełnej autonomii. Działając bowiem w oparciu o majątek produkcyjny stanowiący własność społeczną, muszą one kierować się nie tylko własnymi interesami, ale także uwzględniać interesy innych uczestników życia gospodarczego.

Zasadą służącą realizacji tego celu jest samorządność. To właśnie w oparciu o stosunki samorządowe dokonuje się włączania pracowników do decydowania o sposobie wykonywania pracy, określa warunki, w jakich się ona odbywa, oraz przeprowadza podział jej rezultatów (dochodu). Zasada samorządności stanowi również podstawę regulowania stosunków między organizacjami gospodarczymi na wszystkich szczeblach struktury organizacyjnej gospodarki i określa sposób udziału obywateli w zarządzaniu państwem.

Dla określenia charakteru jugosłowiańskiej gospodarki samorządowej należy także wskazać na stosowane w niej mechanizmy regulacji zachowań podmiotów gospodarczych. **Wykorzystywane są również trzy takie mechanizmy: planowanie, mechanizm rynkowy oraz porozumienia samorządowe.** Makroekonomiczne plany pięcioletnie (nie ustala się planów rocznych) mają charakter strategiczny i spełniają rolę koordynacyjną. Powstają jako rezultat równolegle prowadzonych prac planistycznych na wszystkich szczeblach organizacyjnych gospodarki i są wynikiem zawarcia umowy społecznej przez siły reprezentowane w parlamencie. Mechanizm rynkowy jest stosowany do bieżącej regulacji działalności przedsiębiorstw i określa warunki wyjściowe do zawierania porozumień samorządowych. Właśnie tym ostatnim nadano w systemie samorządowym bardzo istotną rolę, widząc w nich alternatywę zarówno dla biurokratycznego planowania, jak i żywiołowego działania rynku.

Tego typu system społeczno-ekonomiczny miał w intencjach jego twórców stanowić „gospodarkę bez przymusu". Gospodarkę, w której rzeczywiste uspołecznienie środków produkcji, przez oddanie ich do faktycznej dyspozycji bezpośrednich wytwórców, wyzwalałoby oddolną inicjatywę i pobudzało do efektywnej działalności. Rezultaty ekonomiczne, tej ideologicznie chwytliwej koncepcji, są znane: **inflacja przekraczająca obecnie 1200 proc. w skali roku, bezrobocie w wysokości 18 proc. zatrudnionych (przy jednoczesnej emigracji zarobkowej około 1 mln), zadłużenie w wysokości 17 mld. dolarów, deprecjacja waluty krajowej rzędu 100 proc. rocznie, drastyczny spadek poziomu życia, inwestycji itd.** Jugosławia znalazła się tym samym w najgorszym położeniu wśród krajów europejskich objętych kryzysem. Stosowany do oceny sytuacji gospodarczej zespół trzech wskaźników (inflacji, bezrobocia i deprecjacji waluty), określany mianem magicznego trójkąta, osiągnął najwyższe wartości wśród krajów tego regionu, przy czym żaden z nich nie notował tak długotrwałej stagnacji wzrostu dochodu narodowego.

◆

Powstaje zatem pytanie, jakie są przyczyny tego załamania ekonomicznego? Jedni twierdzą, że jugosłowiański system ekonomiczny nie funkcjonuje, ponieważ jego rozwiązania są błędne i niedostosowane do aktualnych warunków społecznych i ekonomicznych. Drudzy uważają, że system jest dobry, lecz niewłaściwe było postępowanie poszczególnych podmiotów, które nie realizowały jego założeń w praktyce. Osobiście skłaniam się do pierwszego z tych stanowisk, które zresztą zyskuje sobie ostatnio coraz więcej zwolenników w samej Jugosławii. Mamy bowiem do czynienia z oczywistą negatywną weryfikacją podstawowych kategorii składających się na istotę gospodarki samorządowej.

Nastąpiła przede wszystkim degradacja instytucji własności społecznej, podziału dochodu przez kolektywy pracownicze, planowania samorządowego, porozumień samorządowych.

Samorządowa własność środków produkcji, jako forma własności społecznej, wywołała nieoczekiwane konsekwencje. W sferze stosunków własnościowych pojawiły się dualistyczne interesy ekonomiczne. Z jednej strony użytkownicy społecznych środków produkcji, czyli organizacje gospodarcze, zaczęły je wykorzystywać do realizacji swoich partykularnych celów, nie oglądając się na interes społeczeństwa jako całości. Z drugiej strony ujawniły się interesy organów państwa i instytucji parapaństwowych, które pod przykrywką celów „publicznych" i „wspólnotowych" ukrywały w istocie rzeczy interesy określonych grup biurokracji czy interesy regionalne.

Własność samorządowa zachowuje zatem charakter społeczny raczej z nazwy, gdyż w praktyce jest w znacznym zakresie wykorzystywana w interesie grupowym. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro z istoty tej własności wynika, że np. pracownik zmieniający miejsce pracy nie realizuje żadnej korzyści z tytułu swojego wkładu w rozwój przedsiębiorstwa, w którym pracował.

W ten sposób dochodzimy do problemu podziału dochodu przez samorządy. Pracownicy są w sposób immanentny zainteresowani maksymalnym dochodem indywidualnym i w związku z tym przy podziale ogólnego dochodu przedsiębiorstwa preferują konsumpcję bieżącą kosztem akumulacji. Stąd duże zadłużenie organizacji gospodarczych, również zagraniczne, zadłużenie, które w praktyce oznacza antycypację spożycia.

Także próba oparcia planowania na zasadach samorządowych okazała się nieskuteczna. Problemy powstawały nie tylko na etapie opracowywania planów (przewlekłe uzgadnianie stanowisk poszczególnych grup podmiotów, kompromisy nie zawsze oznaczające rozwiązania jakościowo najlepsze itd.), ale przede wszystkim w fazie realizacji planów. Najlepiej świadczy o tym fakt, że na ogólną liczbę 36 planowanych wielkości ekonomicznych ujętych w planach pięcioletnich, obejmujących łącznie okres 1966—1985, zrealizowano bądź przekroczono jedynie 5 (!). Taki stan rzeczy upoważnia do stwierdzenia, że w sytuacji, gdy plany nie mobilizują jednostek wykonawczych do ich realizacji, a proces rozwoju przebiega niezależnie od założeń planów, to planowanie w praktyce stanowi jedynie obciążenie dla gospodarki, które, jak każdy koszt bez efektów, działa destabilizująco.

Przedmiotem największego rozczarowania stała się jednak usilnie forsowana w formie ideologicznej i politycznej, a także nieformalnych nacisków ekonomicznych, instytucja porozumień samorządowych. Porozumienia te, które obejmowały swoim zakresem wszelkie rodzaje stosunków społecznych i ekonomicznych, stały się dogodną formą monopolizacji gospodarki i realizacji korzyści wynikających z posiadania dominującej pozycji na rynku. Samorządowa regulacja działalności podmiotów gospodarczych nie może przy tym, jak się okazało, konkurować pod względem obiektywności i skuteczności z regulacją rynkową. Protagoniści gospodarki samorządowej spodziewali się, że dojdzie w niej do dominacji interesów wspólnotowych nad interesami partykularnymi, gdyż altruizm zapanuje nad egoizmem. Rzeczywistość pokazała, że była to kolejna utopia, w wyniku której porozumienia samorządowe prowadziły z reguły do subiektywizacji stosunków ekonomicznych, przez co uniemożliwiały oparcie działalności gospodarczej na racjonalnych podstawach.

◆

Niezmierzoną konsekwencją wprowadzenia systemu społeczno-ekonomicznego opartego w szerokim zakresie na zasadach samorządowych okazał się znaczny wzrost roli państwa w gospodarce. W centrum zainteresowania struktur politycznych i państwowych znajdowały się ciągłe zmiany stosunków społecznych i ekonomicznych według z góry narzuconego wzorca. Pozwalało to aparatowi biurokratycznemu na uzasadnianie nie tylko swojej niezbędności, ale i szczególnej roli w społeczeństwie, a w konsekwencji prowadziło do jego samoreprodukcji.

Częste, nie zawsze właściwie dopracowane reformy systemu były jednak nie tylko kosztowne same w sobie, ale stanowiły także znaczne obciążenie dla gospodarki przez swoje długookresowe skutki, gdyż nigdy, jak dotąd, nie doprowadziły do stworzenia rozwiązań o zadowalającej skuteczności. **Ponieważ jednak przepojeni duchem samorządowym „konstruktorzy" systemu każdym nowym rozwiązaniem budowali historię, nie było miejsca na tak przyziemne i prozaiczne pytania, jak koszty społeczne kolejnych ich projektów.**

Struktury biurokratyczne nie tylko nie ponosiły konsekwencji swojej nieudolności w ciągłym reformowaniu gospodarki, ale w przypadku niepowodzeń zawsze znajdowały uzasadnienie dla przejmowania w swoje ręce kierowania procesami gospodarczymi, sięgając do — zastrzeżonych dla sytuacji wyjątkowych — środków bezpośredniej ingerencji. Stąd za samorządową fasadą kryje się, i to na wszystkich szczeblach: od organizacji gospodarczych do najwyższych organów państwa, biurokracja w postaci tych samych osób, obsadzających na zasadzie rotacji poszczególne stanowiska. Zainteresowanie bezpośrednim wpływem na przebieg procesów gospodarczych ze strony zdecydowanej większości pracowników i obywateli jest niewielkie, co stanowi zaprzeczenie samej idei samorządności. **Samorządność bez przymusu ekonomicznego, jaki stwarza podmiotom gospodarczym rynek, jest fikcją, która w praktyce przekształca się w quasi-etatyzm.**

◆

Jakie wnioski z doświadczeń jugosłowiańskich można wyciągnąć dla naszej gospodarki? Okazuje się, że dążenie do większej demokratyzacji (humanizacji) stosunków ekonomicznych odbija się niekorzystnie na efektywności gospodarowania. Chociaż konflikt ten nie może być jednoznacznie zweryfikowany, gdyż w zależności od konkretnych sytuacji występuje negatywne bądź pozytywne sprzężenie między humanizacją a efektywnością, to jednak nastawienie nie tylko pracowników, ale i biurokracji państwowej powoduje w większości sytuacji preferowanie interesów indywidualnych (grupowych) kosztem interesu wspólnego (ogólnospołecznego).

Racjonalność postępowania podmiotów gospodarczych wymaga mimo wszystko występowania przymusu ekonomicznego i regulacji, jaką może zapewnić jedynie działanie mechanizmu rynkowego. Rynek w sposób najszybszy, najtańszy i najbardziej obiektywny jest w stanie dostarczyć informacji niezbędnych do podejmowania decyzji ekonomicznych. Gospodarka rynkowa zabezpiecza jednocześnie uczestnikom życia ekonomicznego prawa i swobody powszechnie akceptowane w naszym kręgu cywilizacyjnym.

Samorządu nie należy zatem traktować jako alternatywy czy substytutu rynku. Może on stanowić co najwyżej mechanizm komplementarny w stosunku do regulacji rynkowej. O tym, że także samorząd może mieć określone dodatnie strony, świadczy postępujący w niektórych gospodarkach rynkowych (USA, RFN) wzrost udziału pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami (rozprowadzanie części akcji wśród pracowników, zapewnienie udziału ich przedstawicieli w radzie nadzorczej itd.). Firmy, które się na to decydują, osiągają z reguły wyższą efektywność od firm zarządzanych w sposób menedżerski.

Czym innym jest jednak przedsiębiorstwo o własności akcyjnej, w którym partycypują pracownicy, a czym innym przedsiębiorstwo samorządowe oparte na własności grupowej. W pierwszym — zindywidualizowana odpowiedzialność majątkowa za podejmowane decyzje pobudza do efektywności, w drugim — niejasny status własnościowy pracowników rozkłada odpowiedzialność na wszystkich zatrudnionych i skłania do maksymalizacji bieżących dochodów indywidualnych kosztem rozwoju. Wnioski te, co należy podkreślić, nie wypływają przy tym z analizy teoretycznej, lecz są potwierdzane przez wieloletnią praktykę stosowania takich rozwiązań. Właśnie w Jugosławii...

Jerzy Węcławski

Dr hab. Jerzy Węcławski jest adiunktem w Katedrze Ekonomii Politycznej Wydz. Ekonomicznego UMCS.

Dokończenie ze str. 1

townię ideologiczną — tak doszło do wycięcia znacznej części Ogrodu Saskiego i budowy gmachu KW PZPR.

Powróćmy na wieś. Oddajmy głos potomkowi obszarników w miejscowości B. w obecnym województwie zamojskim. Miał wówczas kilkanaście lat:

„Kazali nam się wynosić z domu w ciągu dwóch dni. Dokąd? To ich nie obchodziło. Pozwolili nam łaskawie przenieść najpotrzebniejsze rzeczy do zrujnowanej stróżówki. To byłem ja, moja mama i schorowana babka. Rozpoczęły się niezliczone szykany. Zrozumieliśmy, że wykończymy się tu w bardzo krótkim czasie. Przypomnieliśmy sobie o dalekich kuzynach w Poznańskiem. Tuż przed wyjazdem zmarła babcia. Może i dobrze, pochowaliśmy ją w rodzinnej ziemi".

DWA były najważniejsze okresy w powojennych losach polskich siedzib ziemiańskich. Pierwszy, najgroźniejszy i najbardziej opłakany w skutkach, to kilkumiesięczny okres bezkrólewia, kiedy zwycięska Armia Czerwona przechodziła przez wyzwalane polskie ziemie, prąc na Berlin. Miała wówczas miejsce totalna demolka pomieszczeń, rabunki, pożary w wyniku lokalnych potyczek, a także zwykłe podpalenia. Straszliwy był wtedy los mienia ruchomego dworków — mebli, księgozbiorów, obrazów, owych kafelków i parkietów.

Co zostało, to ledwo mury lub belki ścian. Regułą było to, że im głębiej w teren, na zapadłą wieś, a zwłaszcza na wschód, w pas nadbużański, tym zniszczenia stawały się większe, wręcz barbarzyńskie.

Potem rozpoczęły się wspomniane rugi. Władza potrzebowała pomieszczeń na swoje agendy gminne, gromadzkie, powiatowe, a następnie rozpoczęło się nasiedlanie pegeerów, spółdzielni produkcyjnych i wreszcie spółdzielni kółek rolniczych.

Osobną grupę zainteresowanych stanowiło szkolnictwo. Parkiety i podłogi zadudniły od stóp dzieciarni. W większych obiektach lokowano szkoły rolnicze, zawodowe lub średnie, a także licealne.

O remonty nikt nie dbał, nie było też mowy o jakimś pietyzmie w stosunku do unikalnych wnętrz. Władza skutecznie i niezmordowanie wpajała nienawiść i odrazę do krwiopijców, toteż było czymś niestosownym dbanie o ich dawne siedziby. Wielu miało nawet zakazane osiedlać się w pobliżu odebranych posiadłości. A nuż wywołają powstanie, uchwycą jakiś przyczółek dla sanacyjnej, obszarniczej władzy?

W ciągu następnych dziesięcioleci przeróżni kulturalni maniacy zaczęli upominać się o stan ziemiańskich siedzib, o ratowanie tego, co jeszcze się nie rozpadło, nie zgniło, nie zostało do cna rozkradzione i zdemolowane. Szermowali górnolotnymi frazesami, powołując się np. na potrzebę „ratowania naszej historycznej substancji narodowej" w sferze architektury i dawnego budownictwa.

Można by tu mnożyć w nieskończoność przykłady i nazwiska takich maniaków. Oto na przykład dwór Kraszewskich w Romanowie w województwie bialskopodlaskim. Na tym nadbużańskim terenie zawsze brakowało cegły, toteż władza umyśliła sobie rozebrać gmaszysko, a cegłę wykorzystać do budowy lokalnego socjalizmu. Znalazł się jednak odważny, uparty maniak w osobie nieżyjącego już, później wieloletniego dyrektora muzeum Kraszewskich — Wacława Czecha. Tłumaczył cierpliwie, że na tym bezludziu bezsensem jest burzyć tak okazały gmach, przyda się na przeróżne cele, a może nawet na muzeum Kraszewskiego, który przecież nie był wrogo usposobiony do socjalizmu. Dwór ocalał, choć w opłakanym stanie, bowiem w okresie przemarszu wojsk sowieckich spłonął niemal doszczętnie, oczywiście w okolicznościach nigdy nie wyjaśnionych. Dziś jest to jedna z nielicznych na „kresach" placówek muzealnych tej rangi i wielkości.

Długa jest lista społecznych i państwowych lokatorów, owych PGR, SKR, RSP, Państwowych Ośrodków Maszynowych, których dyrekcje i kierownictwa ze zrozumieniem i kulturą gospodarzyły w przydzielonych im „substancjach narodowych". Nie szczędzili milionów na remonty i zabezpieczenia.

Okazuje się, że na takie działania nie jest za późno nawet obecnie, po dziesięcioleciach. Przykładem pałacyk w Motyczu koło Lublina, zarządzany przez PGR. Gdy zlikwidowano tam czteroklasówkę, powstał pomysł remontu z przeznaczeniem na ośrodek dla podleczonych narkomanów, ale ktoś uznał, że to za blisko Lublina i tamtejszych „ćpunów". Wtedy kierownictwo gospodarstwa własną grupą remontową zabrało się do remontu. Zrobiono to z pietyzmem, który kazał władzom województwa przypiąć na piersi dyrektora odznakę za zasługi dla ratowania zabytków. Ostatecznie pałacyk stanie się siedzibą administracji gospodarstwa.

Ale nieporównanie dłuższa jest lista przykładów obojętności czy wręcz wandalizmu w stosunku do przyznanych siedzib ziemiańskich. Na remonty zwykle brakowało „środków", materiałów albo czasu, a wszelkie monity, propozycje udziału w kosztach naprawy czy — broń Boże! — propozycje wyprowadzki zbywano milczeniem lub niezobowiązującymi obietnicami.

„Wdzięcznym" przykładem niech tu będzie los dworku i parku w Chotyczach w województwie bialskopodlaskim. „Gospodaruje" tym obiektem Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna. W ciągu dwudziestu ostatnich lat zdążyła zdewastować park dworski, zniszczyć sadzawkę przez odprowadzanie do niej gnojowicy, a nie remontowany dwór dodatkowo zeszpecić przeróżnymi przybudówkami. Kierownictwo gospodarstwa zachowuje się jak przysłowiowy pies ogrodnika — samo nie skorzysta, ale i drugiemu nie pozwoli. Obiekt pilnie wymaga remontu. Neogotycki dwór jest zawilgocony, bez okien, kominków, podłóg. Na wszystkie propozycje władz konserwatorskich kierownictwo gospodarstwa odpowiada: nie! Nie chcą go zwolnić. Nie godzą się na wydzierżawienie. Co do remontu, to mgliście obiecują rozpocząć go za kilka lat. Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków w Białej Podlaskiej odprawiło już z niczym kilkunastu prywatnych kontrahentów, którzy chcieli nabyć i wyremontować dworek.

Przykład Chotycz jest także ilustracją bezsilności władz, od wojewódzkich po gminne w Łosicach. Nie istnieją bowiem przepisy zezwalające albo na eksmisję lokatora godnego raczej chlewu niż dworku, albo na zmuszenie go do remontu czy choćby zaprzestania dewastacji. Państwo ludowe przyznało, państwo nie może się odczepić!

BIALSKOPODLASKIE jest jednak przykładem stale wzrastającego zainteresowania osób prywatnych nabywaniem opuszczonych czy zajętych, lecz podupadłych, obiektów dworskich. Nowobogackim socjalmieszczanom marzy się sentymentalna samotnia wśród pól i lasów, z dala od zgiełku cywilizacji. W pasie nadbużańskim krajobraz jest szczególnie urokliwy, refleksyjny, a obiektów do nabycia było sporo. Obecnie niemal wszystkie — poza wspomnianymi Chotyczami i Toporowem — już mają nowych właścicieli.

Sprzyjająca jest atmosfera ku takim działaniom. Do niedawna — choć przepisy były te same jak obecnie — zawsze pojawiały się jakieś przeszkody uniemożliwiające sprzedaż — przyznać trzeba, że za grosze — podupadłego obiektu osobie prywatnej. W ostatnich dwóch latach te transakcje przebiegają dość sprawnie. Mają już nowych prywatnych „dziedziców" dworki i całe zespoły dworskie w Horodyszczu, Huszlewie, Ludwinowie, Krzyczewie, Kodniu, Woskrzenicach. Przez długie lata stały opuszczone, na skraju ostatecznej ruiny. Prawie każdy posiada piękny park ze starodrzewiem. Owe parki to osobne i osobliwe zabytki, wtopione w miejscowy pejzaż.

Po pierwszych odważnych przyszli następni. Trwa załatwianie formalności, a nawet już remonty dworów i zespołów dworskich w Nosowie, Kownatach, Bojanówce, Wólce Nosowskiej i Zaciszu. Te odważne i wcale nie tanie decyzje podejmują przedstawiciele zamożniejszej inteligencji oraz rzemieślnicy. Większość z nich to ludzie pochodzący spoza województwa. W niektórych przypadkach mamy tu do czynienia z historycznymi powrotami dawnych właścicieli na ziemię ojców.

Przykładem takich sentymentów jest dwór w Huszlewie. Znów oto jest własnością Woronieckich, nazwiska niemal już zapomnianego w tej miejscowości. Nabyła ten obiekt pani Renata Woroniecka. (Pardon: pani hrabina Renata Woroniecka!). Dwór już po remoncie. Obecnie właścicielka zabiega o odzyskanie rządcówki i obory.

Nasuwa się intrygujące wielu pytanie, czy wyrugowani pół wieku temu właściciele lub ich spadkobiercy mogą obecnie dochodzić swoich praw własnościowych? Niestety, ponoć jest to niemożliwe, rzecz straszliwie przedawniona. Prawo i historia nie działają wstecz. Podobno istnieją tylko pewne, raczej teoretyczne możliwości odzyskania własności w tych przypadkach, kiedy to z rozpędu czy na skutek niedopatrzenia odebrano komuś dom i grunty orne o obszarze mniejszym niż 50 hektarów. Takich gospodarstw nie obejmowała ustawa o reformie rolnej i parcelacjach. Na terenie Lubelszczyzny, Białostocczyzny i Rzeszowszczyzny podobno miały miejsce takie nadużycia.

Już tylko we wschodniej Polsce, w jej miastach i osadach cieszą oko piękne drewniane domy, zdobne w ganki, podcienia, okiennice z serduszkiem, cięte laubzegą okapnice, facjaty. One także wymagają i remontu, i ratowania przed zagładą, są bowiem zagrożone inwazją nowego budownictwa. Niektóre liczą sobie po sto i więcej lat, ale pod zmurszałymi deskami szalunku tkwią zdrowe, grube bale sosnowe lub modrzewiowe, które przetrwają następne stulecie.

Szczególnie dużo takich sędziwych dworzyszcz znajduje się w Bialskopodlaskiem oraz na Białostocczyźnie. Władze konserwatorskie w Białej Podlaskiej ratują je od zagłady w ten sposób, że wystawiają je do przetargu. Chętnych jest wielu. Przyjęto jako zasadę, że dom musi pozostać na terenie województwa i stanąć tam, gdzie istnieje park podworski. I tak np. w Woskrzenicach stanął drewniany dwór z 1830 roku, inny znalazł się w Hotyłowie, a na następne rozbiórki oczekuje kilkunastu chętnych. Jednym z nich jest syn zmarłego przed laty wybitnego poety, sam także poeta, Tomasz J. z Warszawy!

POWRÓT JAŚNIE PAŃSTWA?



Fragment zespołu pałacowego w Radzyniu Podlaskim.

Fot. Waldemar Stępień

Przed nowymi właścicielami stają teraz pewne bariery życiowe i psychologiczne: czy i jak długo wytrwają na tych pustkowiach, jak ułożą sobie życie osobiste, zawodowe, rodzinne? Po śmierci dyrektora muzeum Kraszewskiego w Romanowie, wspomnianego Wacława Czecha, jeden z lubelskich poetów zapalił się do wakującej funkcji. Zachwycił obiektem, parkiem, okolicznymi łąkami i lasami. Pojechał na rekonesans z żoną i dorastającą córką. Gdy wysiadły z autobusu, ujrzały płaskie pola, w tle domki jakiejś wioszczyny. Wszystko to kilkadziesiąt kilometrów od stolicy województwa. No i dowiedziały się od przechodzącej kobiety, że chleb tu zimą dowożą tak jakoś raz na tydzień... Uciekły w popłochu następnym autobusem! Dziś dyrektoruje tam absolwentka polonistyki UMCS. Ale pochodzi stąd, dorabia na paru hektarach ojcowizny. Ona wytrzyma. Bo musi!

PODCZAS gdy największe obiekty pałacowe w Polsce już od dawna są na ogół zabezpieczone i najczęściej służą jako placówki muzealne, to jeden z nich wciąż jeszcze nie może doczekać się końcowego remontu oraz przeznaczenia. To pałac w Jabłoniu, bodaj największy obiekt dawnej architektury w całym nadbużańskim pasie. Sam pałac ma 672 metry kwadratowe powierzchni użytkowej, składa się z 30 pomieszczeń. Sięga początkami XV wieku; był najpierw siedzibą Paca i Firlejów, potem kolejno rezydencją Potockich, Strzyżowskich, Łubieńskich, na koniec Zamojskich. W skład zespołu pałacowego wchodzi oranżeria, pasaż łączący pałac z oficyną wschodnią, kaplica, domek odźwiernego i brama. Sam pałac nie jest użytkowany przez obecnego właściciela — Zespół Szkół Rolniczych. Poddasze zostało po powojennym pożarze wyremontowane, jednakże niższe kondygnacje uległy zniszczeniu na skutek wadliwego zabezpieczenia. Pilnie potrzebny jest remont kapitalny, połączony z adaptacją do konkretnej funkcji, remont tarasu, odtworzenie detali architektonicznych oraz wymiana stolarki. Nie ma sponsorów, przez całe lata nikt nie kwapił się do przejęcia i zagospodarowania ogromnego obiektu. Szkoła chętnie pozbyłaby się tego kłopotu.

Ostatnio zaczynają zgłaszać się odważni i bogaci. Kilku z nich widzi tam elegancki hotel dla gości zagranicznych, nawet z kasynem gry. Z inną propozycją wystąpiła potomkini dawnych właścicieli (nazwisko na razie zastrzeżone). Pani hrabina upatrzyła sobie w rezydencji przodków siedzibę fundacji kultury polskiej. Mogłaby się ta fundacja stać ostoją i formą promowania młodej literatury, muzyki, malarstwa. Pani hrabina była tu już kilkakrotnie, w towarzystwie osób z zagranicy, a zatem ze strefy dolarowej... Od kilku miesięcy jednak panuje cisza; pani hrabina albo waha się, albo być może gromadzi siły i środki.

W tym samym czasie do władz konserwatorskich w Białej Podlaskiej zgłosiło się kilku następnych kontrahentów zainteresowanych rezydencją w Jabłoniu. Nie znając ostatecznej decyzji arystokratki, podsuwa się im propozycję objęcia zespołu biskupiego w Janowie Podlaskim. Sąsiedztwo sławnej stadniny koni i dorocznych międzynarodowych aukcji stwarzałoby chyba obiecujące warunki prosperity dla ekskluzywnego hotelu a nawet... hazardu. Obiekt to, co prawda, obwiany noblliwą tradycją, ale czego to nie robi się dla pieniędzy i ratowania zabytku!..

Henryk Pająk

Rozmowa z Piotrem Horbowskim-Zarankiem, prezesem lubelskiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna

NAD NIEMNEM ŻYJĄ

— W jednym z wywiadów Tadeusz Konwicki powiedział, że całe jego życie jest wędrówką w stronę Wileńszczyzny, w stronę Kresów. Czy mógłby pan to wyznanie uznać za swoje?

— Nie jestem pisarzem, nie umiem mówić tak piękną literacką polszczyzną, ale w tym, co powiedział Konwicki, zawiera się rzeczywiście całe moje życie. Wprawdzie Zarankowie wywodzą się z Podlasia, gdzie przodek mój, Jan, dostał od Władysława Jagiełły wieś Horbów za zasługi w bitwie grunwaldzkiej, jednak już w XVII wieku jego potomkowie pociągnęli z Batorym na Psków. Tam otrzymali z rąk króla majątek Dymanów pod Witebskiem. W tymże Dymanowie mieszkaliśmy, a raczej moi rodzice, bo ja urodziłem się już w Wilnie, do 1928 roku, mimo że majątek upaństwowiono po rewolucji 1917 roku...

— Polski szlachcic.

— Nigdy nie przywiązywałem do tytułu takiego znaczenia jakie pan ma na myśli. Mówię o historii, bo staram się wyjaśnić moje związki z Kresami, kilkusetletnie zatopienie w Białorusi. Pana sugestia przypomniała mi odpowiedź starego chłopa, którego podczas pobytu w Dymanowie zapytałem o ojca. „Zaranek, Zaranek... — zastanawiał się staruszek. — Nie, takj tu nigdy nie mieszkał. Ale pan Zaranek — dodał po chwili — był ostatnim polskim dziedzicem majątku". Wracam jednak do historii. Jak wspomniałem, urodziłem się w Wilnie, skąd przenieśliśmy się wraz z całą rodziną do Dzisny nan Dźwiną. Potem było już „normalnie". Wojna, 17 września, śmierć ojca i wywózka matki na Sybir, skąd wróciła dopiero w 1945 roku. Po zakończeniu wojny wraz z matką i siostrą repatriowano nas do Polski.

— Los, który spotkał tysiące polskich rodzin. Ilu takich „repatriantów" jak pan należy do Towarzystwa?

— Trudno mi powiedzieć, jak wygląda sytuacja w całym kraju, ale w naszym oddziale, który liczy ponad 300 osób, około połowa z nich pochodzi z dawnych Kresów Wschodnich. Reszta to sympatycy, ludzie zafascynowani historią Litwy i Białorusi. Dzięki nim właśnie powstało „lubelskie" Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna. Jeżeli mówimy już o liczbach, to dodam, że w całej Polsce Towarzystwo liczy około 3 tys. członków, a siedziba główna mieści się w Warszawie.

— Rozumiem, że wasze kontakty z Grodnem i Wilnem nie kończą się na kurtuazyjnych wizytach.

— Naszą działalność można by właściwie zamknąć w jednym słowie — „polskość", ale sądzę, że byłaby to wymijająca odpowiedź.

— A zatem...

— Podobnie jak inne towarzystwa, utrzymujące kontakty z Polakami mieszkającymi w Związku Radzieckim, gromadzimy i wysyłamy książki do polskich szkół i placówek kulturalno-oświatowych, żeby polskie słowo docierało wszędzie, gdzie jest to możliwe. Staramy się przede wszystkim wysyłać elementarze i podręczniki do pierwszych klas szkół podstawowych. Bez nich zbiórka innych książek mijałaby się częściowo z celem. „Nasze dzieci" muszą nauczyć się czytać i pisać po polsku, żeby później chciały sięgnąć po klasykę czy książkę historyczną. Zresztą na tę ostatnią jest coraz większe zapotrzebowanie za Bugiem. Bo o Polsce i Polakach, jeszcze kilka lat temu, słyszeli tam same najgorsze rzeczy. „Białopolaki", jak mówiła propaganda sowiecka, odpowiedzialni byli za wojnę, kapitalizm i za radziecką nędzę. Teraz, dzięki głasnosti, następują głębokie zmiany. Można mówić i czytać o wielu zakazanych do niedawna rzeczach. Na przykład o działalności na tych terenach Armii Krajowej. Nawet „Czerwony Sztandar", będący przez lata radziecką „gadzinówka", wydawaną na Litwie w języku polskim, dziś broni polskich spraw, stara się pisać o naszej historii bez zakłamania.

— Skoro wspomniał pan o polskim szkolnictwie... Jak wygląda sytuacja na Litwie i Białorusi?

— Nasz „stan posiadania" w Republice Litewskiej przedstawia się znacznie lepiej niż na Białorusi. Na Litwie, oprócz polskich szkół podstawowych, funkcjonują również szkoły średnie, jak na przykład ta w Jaszunach, nosząca imię wielkiego Polaka, Michała Balińskiego, wieloletniego redaktora „Tygodnika Wileńskiego" i współzałożyciela „Biblioteki Warszawskiej". Działa bardzo prężnie Związek Polaków na Litwie. Białoruś pod tym względem jest niemal pustynią. Dopiero teraz, jeszcze nieśmiało i nie wszędzie, język polski toruje sobie tam drogę.

— Żeby istniały szkoły, potrzebni są nauczyciele.

— Brak kadry nauczycielskiej odczuwany jest w obu republikach, a oświatowe władze radzieckie wymagają odpowiedniego przygotowania do prowadzenia zajęć w szkołach polskich. Zapraszamy więc do Lublina nauczycieli, którzy w tutejszym Centrum Polonijnym zdobywają odpowiednie kwalifikacje. Z naszej strony jest to akcja całkowicie społeczna. Polacy zza Bugu zakwaterowani są w domach naszych członków nieodpłatnie. Dodatkowo, w trakcie pobytu w Lublinie, organizujemy im wycieczki do Puław, Nałęczowa, Kozłówki czy Kazimierza. Chcemy, żeby jak najwięcej zobaczyli, poznali, żeby oprócz praktycznych umiejętności zabrali ze sobą Polskę w sercach. To później procentuje. Pamiętam, jak w Skajdziszkach wychowawczyni polskiej grupy w rosyjskim przedszkolu pokazywała nam jadłospis napisany po polsku. Nikt oprócz niej tego nie czytał. Dzieci jeszcze nie umiały, a kierowniczka Rosjanka nie znała polskiego. Ale ona cieszyła się, że może codziennie kaligrafować te „placki", „chleb" czy „kluski". W małym pokoiku, z piętnastką polskich maluchów, miała swoją „ziemniaczaną" Polskę.

— Właśnie. Jaka jest, pańskim zdaniem, ta polskość. Czy jest to głęboka, uświadomiona potrzeba sięgnięcia do korzeni, czy też powierzchowna, modna ciekawość na fali Gorbaczowskiej pierestrojki i głasnosti?

— Odpowiem przykładami. Na jednym z zebrań Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Białorusi w Grodnie spotkałem dwoje staruszków, którzy od 50 lat nie przestawili zegarków na czas radziecki. Mówili, że w ten sposób żyją po polsku. Bo jeżeli u nich i w Warszawie jest ta sama godzina, to znaczy, iż nic się nie zmieniło. Dla nich Polska przetrwała we wskazówkach zegara. Innym razem w zaprzyjaźnionej rodzinie domownicy zobaczyli mój paszport z orłem bez korony. „I to jest polskie godło? — pytali z niedowierzaniem. — To jest kuryca, a nie polskie godło. Nasz orzeł zawsze nosił królewską koronę". Było mi wstyd. Długo musiałem im tłumaczyć zawiłe ścieżki powojennej historii Polski. Oni tę utraconą Polskę dosłownie wchłaniają, chcą się jej napić i nadyszeć, jak pisał Mickiewicz. Ale i tam, na Białorusi, znalazłem, podczas ostatniej wizyty w Związku Radzieckim, takie małe „centrum polszczyzny". Byłem w Bohatyrowiczach nad Niemnem.

— W tych Bohatyrowiczach?

— Tak, tak. W tych Bohatyrowiczach, które z takim pietyzmem odtworzyła Orzeszkowa w „Nad Niemnem". Żyją tam najprawdziwsi Bohatyrowice, mówiący piękną czystą polszczyzną. Senior rodu, pan

Polacy i Litwini

W SOBOTĘ, 28 października br. pod patronatem (i zapewne z inicjatywy) Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy ponad 9 godzin trwały rozmowy przy polsko-litewskim „okrągłym stole", ustawionym w sali Koncertowej Muzeum Historycznego w Warszawie. Za „stołem" zasiadło 14 osób, reprezentujących Polskę i Litwę, a także mniejszość litewską w Polsce i polską na Litwie. Zabrakło natomiast przedstawicieli „Sajudisu", którzy to spotkanie zignorowali.

Niestety, nad taką decyzją liderów „Sajudisu" widocznie nie zastanowił się litewski kapłan, rektor kościoła Marii Panny w Kownie, ks. Riszardas Mikutawiczius i przyjechał do Warszawy. Został za to srodze ukarany. Oto bowiem polski profesor Zbigniew T. Wierzbicki potraktował litewskiego gościa jak niedorozwiniętego uczniaka, zarzucając mu głoszenie zasad... pogańskich.

Drugie posiedzenie „okrągłego stołu" zaplanowano na koniec lutego 1990 roku. Jestem przekonany, że zabraknie na nim księdza Mikutawicziusa i innych litewskich działaczy. Ja również nie mam ochoty uczestniczyć w spotkaniach, gdzie gospodarze obrażają swoich gości.

CO TO JEST „SAJUDIS"?

Według „Dabartines Lietuviu kalbos žodinas" (Słownik współczesnego języka litewskiego), Wyd. „Mintis" Vilnius 1972 — s a j u d i s oznacza ruch społeczny posiadający ściśle określone cele. Czyli coś w rodzaju PRON, tylko z tą „maleńką" różnicą, że „Sajudis" to ruch samorzutny, oddolny, autentycznie patriotyczny i nie sterowany przez żadne nomenklatury.

Wedle mojej opinii, najważniejsze cele „Sajudisu" to:

1) Wyzwolenie się środkami dyplomatycznymi z pęt narzuconych Litwie przez tajny protokół układu Ribbentrop — Mołotow. Jak wiemy — układ ten w świetle prawa międzynarodowego jest absolutnie bezprawny. Zdaje sobie z tego sprawę cały naród litewski i dlatego „Sajudis" jest ruchem autentycznie narodowym.

2) Utworzenie własnego, niezależnego i niepodległego państwa litewskiego.

3) Ustalenie granic państwa litewskiego. Zdaniem litewskich patriotów, granica polsko-litewska powinna przebiegać zgodnie z umową podpisana przez najbliższych współpracowników marszałka Piłsudskiego (w obecności przedstawicieli Anglii i Francji 7 października 1920 roku w Suwałkach). Na mocy tej umowy Wilno wraz z innymi terenami zamieszkanymi w większości przez ludność litewską powinno pozostać przy Litwie.

Niewielu Polaków wie, że umowa suwalska została zerwana jednostronnie przy pomocy bagnetów gen. Żeligowskiego.

Prócz papierowej żółto-zielono-czerwonej chorągiewki, sygnowanej przez „Sajudis" — innych materiałów programowych tego ruchu w ręku nie miałem. Przepraszam więc „Ziemlaków" z „Sajudisu" za ewentualne błędy w rozumowaniu i niedomówienia. Myślę, że „Relacje" udostępnią wam z przyjemnością łamy dla sprostowania moich wywodów.

Jestem Polakiem urodzonym w Wilnie i wychowanym do 16 roku życia w litewskim miasteczku Ignalina, gdzie dziś straszy „Czarnobylem" przestarzały reaktor. Nie tylko całą Litwę... I choć miałem sporo czasu, by poznać mentalność narodu litewskiego, to tok mojego rozumowania może być inny od waszego. Aczkolwiek wydaje się, że sposób myślenia przeciętnego Litwina jest prosty i zrozumiały każdemu człowiekowi, jak zrozumiałe są barwy waszego standaru: kolory kwitnących łąk, złocistych łanów, które dają chleb — źródło litewskiego życia.

Naród litewski kocha swoją pracę, swój dom i swoją ojczyznę. Nie jest ani zaborczy, ani fałszywy. Łatwo też przebacza swoim nieprzyjaciołom wyrządzone krzywdy. W marcu 1938 roku pogranicznik litewski zastrzelił po litewskiej stronie polskiego żołnierza z KOP. W konsekwencji tego wypadku Litwa otrzymuje 48-godzinne ultimatum. I mimo że rząd litewski warunki polskie przyjmuje — władze polskie rozpoczynają serię działań represyjnych wobec Litwinów w RP. Pozamykano litewskie szkoły, rozpędzono legalne organizacje, a ich majątek skonfiskowano. Więzienia zostają zapełnione patriotami litewskimi. Szczególnym okrucieństwem w represjonowaniu Bogu ducha winnych Litwinów wykazali się wojewoda wileński Bociański oraz podległy mu aparat władzy. Prasa warszawska i wileńska bez przerwy atakuje Litwę i Litwinów. W jedynym gimnazjum litewskim im. Witolda Wielkiego w Wilnie wybito brukowcami wszystkie szyby. Sprawcy pozostali „nierozpoznani".

Za te wszystkie krzywdy Litwini mieli moralne prawo do zemsty. Okazja przecież nadarzyła się rok później. Rany zadane im przez Polaków były bolesne i jeszcze krwawiły... Czy Litwini wykorzystali tę okazję? Otóż nie. Żaden żołnierz Września, internowany przez Litwinów, nie przymierał głodem (karmiono według racji należnych żołnierzom litewskim), nikt nie zabierał obrączek, zegarków, butów i innych wartościowych przedmiotów. Nikt też Polaków nie bił i nie mordował. Zaś internowani mieli względną swobodę.

W Kownie istniał „tajny" komitet pomocy uciekinierom z Polski. Temu komitetowi wielu Polaków zawdzięcza życie, gdyż zostali przerzuceni do Szwecji. Trudno uwierzyć, aby sprawna służba bezpieczeństwa rządu prezydenta Antanasa Smetony o działalności komitetu nie wiedziała.

Rząd litewski, odzyskawszy Wilno i Wileńszczyznę, udzielił mieszkańcom poważnej pomocy materialnej, wymieniając polskie bezwartościowe już złote na „twarde", wymienialne na całym świecie srebrne lity, mające dużą siłę nabywczą.

A przecież Litwini nie musieli tego robić... Było to bowiem małe państwo nadbałtyckie, liczące 3,5 miliona ludności, którego podstawę bytu stanowił eksport produktów rolnych. Importowało też zza granicy nicomal wszystko: od igły począwszy, na soli skończywszy. I choć w ministerstwach przeważnie decyzje podejmowali maturzyści, potrafili oni zapewnić obywatelom dobre warunki życia. W każdym razie nikt w Litwie niepodległej nie stał w kolejce po kaszankę.

PAMIĘĆ LITWINÓW I „OKRĄGŁY STÓŁ"

Udowodniłem, że naród litewski nie jest mściwy. Nie oznacza to, że nie ma pamięci. Ma i to doskonałą. Pamięta na przykład, jak polskie organizacje w centrum Litwy prowadziły działalność przeciw państwu litewskiemu. Ta dobra pamięć spowodowała najprawdopodobniej uchwałę Rady Najwyższej Litewskiej SRR, zakazującą wydzielania polskich rejonów. I dziwię się p. Janowi Sienkiewiczowi, prezesowi Związku Polaków na Litwie, że o te rejony tak twardo zabiega. Moim zdaniem — te rejony to niepotrzebny kij w mrowisko, który może oddalić na czas nieokreślony sprawę autentycznego porozumienia między Polakami a Litwinami.

SZUDAS

Józef Sapkowski

Można żyć i bez rejonów autonomicznych, ale bez porozumienia i zgody — trudno. Rzecz tylko w tym, aby Polacy nie traktowali Litwinów jak ongiś Hiszpanie Indian. A wszystko wskazuje na to, że właśnie tak zaczyna się dziać. Polacy protestują przeciw litewskim zarządzeniom (ograniczanie wyjazdów), jacyś „miłośnicy" Litwy z Warszawy narzucają Litwinom swoją „miłość" i terminy narad, nie wstydząc się obrażania swoich gości za ich własny punkt widzenia. Słowem „miłośnicy" traktują Litwę jak podległą im prowincję. Znam Litwinów i wiem, że oni nigdy więcej nie zgodzą się na takie traktowanie.

Litwini, podobnie jak i Polacy, dość mają zależności od innych. Chcą wreszcie sami rządzić się we własnym państwie. Nie ma więc obawy, że dojdzie do tego, iż mniejszość Polska na Litwie nadal będzie dyskryminowana. W roku 1940 dr Jurgis Plieninis w odezwie do Polaków pisał:

„Litwini serdecznie współczują narodowi polskiemu, przeżywającemu obecnie straszną, największą w jego hi-

BOHATYROWICZE

Józef, liczy sobie 80 lat i jest w prostej linii wnukiem Jana, męża Justyny Orzelskiej. To właśnie historię ich miłości opisała Orzeszkowa w swej powieści. Przetrwał dom, w którym mieszkali, przetrwała legenda o Janie i Cecylii. Mogiła założycieli rodu Bohatyrowiczów została niedawno odnowiona. Wokół dębowego krzyża z rzeźbą Chrystusa posadzono kwiaty. Niestety, dwór Korczyńskich umiera. Pusty, nie zamieszkany, z roku na rok obraca się w ruinę. Jeszcze teraz można by go uratować, ale za 10—15 lat pozostaną po nim tylko trawa i chwasty. Prawdopodobnie i same Bohatyrowicze, od lat istniejące w niemal nie zmienionym kształcie, zostaną już wkrótce oszpecone daczami, które kilku wyższych oficerów radzieckich postanowiło tam pobudować. W środku zaścianka leżą materiały, niedługo rozpocznie się budowa.

— Dla Rosjan zapewne ten skrawek ziemi nie stanowi takiej wartości jak dla nas. Ale czy nie można by porozumieć się z nimi? Pozwolić Bohatyrowiczom żyć własnym zaściankowym życiem?

— Rzuciliśmy takie hasło: „Bohatyrowicze — placówka". Razem z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Polaków na Białorusi będziemy się starali, aby zmienić lokalizację tych daczy, a także zabezpieczyć przez zniszczeniem mogiłę Jana i Cecylii oraz dom Jana i Justyny. Gdyby jeszcze udało się odrestaurować dwór Korczyńskich... W związku z tym napisałem do pani minister Izabelli Cywińskiej. Niedawno otrzymałem odpowiedź. Pani minister, doceniając naszą troskę, przekazała sprawę polskiemu konsulowi w Witebsku z prośbą o pomoc w ratowaniu Bohatyrowicz i Korczyna.

— Wróćmy jeszcze na wieś, do tej oazy polskości. Jak dziś w radzieckich realiach żyją ludzie, których dziadkowie i pradziadkowie weszli na stałe do historii literatury polskiej?

— Przede wszystkim nie „na wieś", a do zaścianka lub okolicy. Gdyby pan przy seniorze rodu powiedział o Bohatyrowiczach „wieś", staruszek mocno by się oburzył. On doskonale zna powieść Orzeszkowej, swój rodowód, swoje zakorzenienie w historii. Czuje się t y m Bohatyrowiczem, spadkobiercą rodzinnych tradycji. Pamięta, jak przed wojną do Bohatyrowicz przyjeżdżały wycieczki szkolne na mogiłę Jana i Cecylii. Jego dzieci i wnuki, pomimo że nie wynarodowiły się, myślą już inaczej. Wtopieni w krajobraz kołchozów, nie znający „Nad Niemnem", żyją dniem dzisiejszym, sentymenty zostawiając przy mogile legendarnych przodków. Wszyscy są jednak bardzo mili i niezwykle serdeczni. Przyjmowano mnie tam prawdziwie polskim zwyczajem, a Józef Bohatyrowicz tak się cieszył z mojej obecności, jakby cząstkę Polski trzymał w ręku. Szkoda, żeby ten nadniemeński zakątek, który przetrwał niejedną dziejową zawieruchę, musiał ulec zniszczeniu.

— Powieść Elizy Orzeszkowej tchnie w finale nadzieją. Pozostaje i nam ją zachować. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Zbigniew Dzięciołek

PS: Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna w Lublinie, jak na razie, nie ma swojej stałej siedziby. Korzysta z gościnności Klubu MPiK na LSM. Zebrania odbywają się w pierwszy i trzeci poniedziałek każdego miesiąca.

NE PYRAGAS!

storii katastrofę. Prawdziwość uczuć litewskich potwierdza postępowanie Litwinów z tymi obywatelami polskimi, których wojenna zawierucha wygnała z ojczyzny. Życzę też Polakom jak najszybciej odbudować swoje państwo etnograficzne i zagoić zadane przez wojnę rany".

A któż wykształtował w Litwinach tak subtelne uczucia, przez które przebija niezakłamana, ale autentyczna miłość bliźniego? Czy byli inni nauczyciele prócz owych „pogańskich" księży?

Ksiądz Riszardas Mikutawiczius został zbesztany przez prof. Wierzbickiego za to, że powiedział, iż niewprowadzenie w wileńskiej katedrze nabożeństw po polsku jest sprawą dumy narodowej Litwinów. To wspaniale, że Litwini po tych wszystkich prześladowaniach, próbach wynarodowienia, kaźniach, zsyłkach do łagrów najlepszych działaczy i kapłanów katolickich zachowali jeszcze dumę narodową. A duma, podobnie jak miłość — jest jednym z najdelikatniejszych uczuć osobistych ludzi.

Wspomniany już dr Jurgis Plieninis pisał:

„Wilno jest od dawien dawna centrem Litwy całej. Założone było też w najbardziej litewskiej krainie. Książę, w czyim władaniu pozostawał ten gród forteczny, samo przez się stawał się rozkazodawcą dla całej Litwy, jej wielkim księciem. Długie stulecia Wilno stawiali i odbudowywali po wojnach i pożarach Litwini. Każdy starszy zabytek wileńskiej architektury należy przede wszystkim do historii litewskiej. Heroiczna przeszłość Litwy grubymi warstwami zalega wileńskie gmachy i zacisza. Jedna Góra Zamkowa z resztkami wzniesionego ongiś przez Giedymina Zamku Górnego jest wystarczająco wymownym dowodem litewskości tego miasta. Czym by była Polska bez Krakowa? — Zganioną narzeczoną, obrabowaną panną młodą.

Polska wszakże posiada prócz Krakowa rozmaite inne starożytne zabytki. Wilno dla Litwy jest czymś ważniejszym, jest bowiem jedynym. Wilno jest owocem litewskiej przeszłości, jej skarbnicą, cząstką jej ciała, wykwitem jej krwi i potu".

Wileńscy Polacy mają gdzie się modlić. Nie muszą w katedrze. (Nam również nie podobają się odprawiane msze po niemiecku na Górze Świętej Anny). Natomiast besztanie Litwinów za to, że nie pozwalają odprawiać w niej nabożeństw po polsku jest nie tylko — delikatnie mówiąc — nietaktem, ale działaniem spirytystycznym, zmierzającym do wywoływania zza światów niesławnej pamięci ducha gen. Żeligowskiego i bagnetów jego żołnierzy. Słowem: — Szudas nie pyragas! — jak powiedział pewien litewski chłop, wdepnąwszy za stodołą w cuchnącą maź. (Gówno nie jest pierogiem).

Przestańmy wreszcie w tradycyjny i niechlubny sposób narzucać Litwinom swoją wolę. Zacznijmy traktować ich nie jak podległych chłopów pańszczyźnianych, ale jak równorzędnych partnerów!

Zaczekajmy też, aż „Sajudis" sam wyjdzie z podobną inicjatywą. A wyjdzie, bo bez zgody, wzajemnego szacunku i partnerskiej współpracy dwóch bratnich narodów — w świecie cywilizowanym żyć się nie da.

Nie wszyscy w redakcji podzielamy poglądy p. Sapkowskiego. Do tematu zamierzamy wrócić w najbliższych numerach „Relacji".

Red.

Akowska wytwórnia broni w Lublinie

JAK POWSTAWAŁY „SIDOLÓWKI"

Mirosław Derecki

Za głównego twórcę granatu zwanego popularnie „sidolówką" uważa się Władysława Pankowskiego, konstruktora zapalnika. On to właśnie zaprojektował tarciowy mechanizm zapalający ścieżkę prochową (lubelscy wytwórcy zapalników nazywali potocznie ten mechanizm „zawleczką"), on opracował skład masy zapalającej, on zestawił odpowiednio składniki prochu używanego do wypełniania ścieżki prochowej zapalnika, a wreszcie — wraz ze swym kolegą Zygmuntem Tyszkiewiczem — wykonał pierwszą formę korpusu zapalnika. Ów zapalnik, dzieło Władysława Pankowskiego, określony został kryptonimem P-42.

◆

Władysław Pankowski miał wieloletni staż zawodowy — od 1923 r. pracował w Warszawskiej Wytwórni Amunicji nr 1. Skonstruował m.in. zapalnik tarciowy do miotaczy ognia. Praca, którą wykonywał, była niezwykle niebezpieczna; kiedyś, podczas wybuchu w laboratorium, stracił dwa palce u lewej dłoni.

Już w pierwszej fazie okupacji Pankowski związał się z konspiracyjną robotą. Wstąpił w szeregi Komendy Obrońców Polski. Przyjął pseudonim — „Władysław". Po wielkiej wsypie KOP-u przeszedł do Związku Walki Zbrojnej.

Było to w okresie, kiedy ZWZ, a następnie — Armia Krajowa zaczęły przygotowywać się do rozpoczęcia samodzielnej produkcji broni, w tym — granatów. W konspiracyjnych magazynach posiadano pozostałą sprzed wojny sporą ilość czerepów granatów zaczepnych, ale nie było do nich zapalników. Takie zapalniki należało wykonać, opracowując uprzednio odpowiednią konstrukcję, którą można było realizować w warunkach domowych, w niewielkich, dobrze zakonspirowanych warsztatach. Później postanowiono także produkować korpusy granatów.

Przy Komendzie Głównej AK powstał Wydział Produkcji Konspiracyjnej, działało też — przy Wydziale Saperów — Biuro Badań Technicznych. To właśnie ono zaopatrywało podziemny przemysł zbrojeniowy w odpowiednie technologie, konstrukcje i prototypy broni.

W konspiracyjnych laboratoriach powstały dwa główne typy granatów: bardzo popularna w Warszawie „filipinka", zwana też „perełką" lub „Wanią", nosząca oficjalną nazwę granatu ET-40; oraz „sidolówka" z zapalnikiem P-42, zwana często — „olejarką".

„Filipinkę" skonstruował Edward Tymoszek, majster-pirotechnik, przedwojenny pracownik Składnicy Zbrojeniowej nr 2 w Lublinie („Chmielnicki", „Tarło", „Malarz"). Ojcem „sidolówki" był — jak już się rzekło — Władysław Pankowski („Władysław").

„Filipinkę" produkowały podziemne wytwórnie zbrojeniowe w Warszawie i Krakowie; Lublin specjalizował się tylko w „sidolówkach".

◆

Zapalnik do „sidolówki" powstawał w niesłychanie trudnych warunkach, bez odpowiednich urządzeń, laboratoryjnego wyposażenia, nawet bez nadziei na uzyskanie z zewnątrz koniecznych składników chemicznych. Laboratorium konstrukcyjne mieściło się w prywatnym mieszkaniu państwa Kuleszów przy ul. Górskiego 3 w Warszawie. Tam właśnie, na zwykłym kuchennym stole dokonywał skomplikowanych operacji ze środkami wybuchowymi Władysław Pankowski.

W grudniu 1965 r. Jerzy Woydyłło opublikował na łamach tygodnika „Dookoła Świata" artykuł zatytułowany „Środek na prusaki". Pisał w nim, w oparciu o ustną relację Władysława Pankowskiego, m.in. o początkach powstawania zapalnika do



„Sidolówka" z zapalnikiem
Fot. Waldemar Stępień

„sidolówki" w mieszkaniu przy ul. Górskiego 3:

„[...] trzeba było rozwiązać wiele trudnych problemów technicznych, zdobyć odpowiednie urządzenia. Pomysłowości konstruktorom nie brakło, do zaprasowywania opóźniaczy używano prasek szewskich, tulejki do spłonek zamówiono w firmie W. Czajkowskiego przy ul. Młynarskiej jako oprawki do szminek, puder z lanego trotylu uzyskiwano przez roztłukiwanie w skórzanym worku saperskich kostek trotylowych, piorunianu rtęci [tzw. „rtęci piorunującej" — przyp. M. D.] dostarczał inż. Krasnodębski z fabryki jedwabiu w Milanówku, a produkcją prochu do tzw. ścieżek prochowych zajął się sam Władysław.

Znajdujący się na warszawskim rynku węgiel drzewny nie nadawał się do użytku, posiadał za mało części oleistych. Wypalali więc brzozowe szczapy, potem trzeba było węgiel mleć w maszynkach do mięsa; przesiewać skrupulatnie przez gęste sita, mieszać z saletrą i siarką; znowu przesiewać, dodawać wody; przesiewać i po wysuszeniu formować ścieżki prochowe".

Wszystkie te prace wykonywała czwórka ludzi: Władysław Pankowski, jego szesnastoletnia córka Krystyna, oraz małżonkowie Kuleszowie.

Kiedy ostatnie próby z zapalnikami wypadły dobrze, postanowiono wprowadzić je do masowej produkcji. Dokumentację konstrukcyjną skierowano m.in. do Lublina.

◆

„Rozkąz w sprawie podjęcia tu [w Lublinie — przyp. M. D.] produkcji — pisał Zygmunt Mańkowski w artykule „Lubelskie granaty" („Kalendarz Lubelski, 1968") — przyszedł wiosną 1942 r. Ostateczna decyzja zapadła na odprawie w lokalu kontaktowym przy ulicy 1 Maja 43, w obecności szefa wydziału uzbrojenia Komendy Okręgu mjr. Rybickiego [w istocie: Stanisława Rybińskiego — przyp. M. D.] — ps. Krak, Chmiel, szefa służby łączności KO mjr. Mieczysława Komarskiego — ps. Wojtek oraz jego zastępcy por. Leona Rembarza — ps. Dołęga. Na odprawie tej zapoznano się z instrukcją, ustalono technikę przyjmowania przesyłek z »detalami« i surowcami z Warszawy (przychodziły w beczkach, przykryte karbidem lub farbą miniową), ustalono zespoły produkcyjne, punkty składowe i kontaktowe, sposoby zdobywania niezbędnego surowca itp. Fazę doświadczalną produkcji

Dokończenie na str. 12—13

KIM BYŁ

Stanisław Fornal



Na pogrzebie Pawła Jasienicy

Fot. Archiwum

WIELOTEMATYCZNA publicystyka w „Tygodniku Powszechnym" zyskiwała uznanie czytelników i krytyki, czego potwierdzeniem stała się nagroda im. W. Pietrzaka, przyznana Pawłowi Jasienicy w 1948 r. Ale tenże rok przyniósł również bardzo złe wydarzenia:

„U schyłku czerwca — pisze Jasienica — Z. Szendzielorz został aresztowany. [...] Nastąpiła wtedy generalna dekonspiracja organizacji »wileńskiej«, do której nie należałem, o której niczego nie wiedziałem. 30 czerwca czy też 1 lipca został uwięziony w Krakowie podkomendny Z. Szendzielorza, ps. »Wiktor«. [...] 2 lipca wieczorem poszedłem do siostry »Wiktora« (mojej koleżanki uniwersyteckiej, osoby jak najdalszej od wszelkiej w ogóle konspiracji). Tu wpadłem w tzw. »kocioł«, zostałem aresztowany.

Sama chronologia wypadków świadczy niezbicie, że moje uwięzienie nie mogło wywrzeć żadnego wpływu na losy »Łupaszki« i »Wiktora«, których zatrzymano wcześniej.

27 sierpnia 1948 r. zostałem uwolniony przez dyrektora Dep. Politycznego Min. Bezp. Publicznego. Nie spodziewałem się tego wcale. Powiedziano mi: »Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy się to Ojczyźnie opłaci«. Nie podpisywałem żadnych zobowiązań. Nawet zobowiązania co do milczenia. Usłyszałem tylko: »Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam wie, że nie wolno zdradzać tajemnic śledztwa«. [...]

O moje uwolnienie starał się ze wszystkich sił Bolesław Piasecki. Dowiedziałem się o tym zaraz po wyjściu z więzienia od mojej śp. Żony, z którą B. Piasecki rozmawiał i którą poinformował o swoich zabiegach. Zaręczył on władzom, że nie należę do żadnej konspiracji".

Po uwolnieniu Jasienica powrócił do „Tygodnika Powszechnego", lecz niebawem także oczywiste zobowiązania wobec Piaseckiego musiały znaleźć swój wyraz — i istotnie znalazły — w publikacjach na łamach prasy PAX-owskiej. Również „PAX" był, w 1951 r., wydawcą pierwszej powojennej książki tego autora pt. „Wisła pożegna zaścianek". Zbiegło się to z jego kilkuletnimi osiedlinami, z żoną i córką, w Szczekocinach — upamiętnionych przegraną bitwą Insurekcji Kościuszkowskiej. Był to zarazem okres rozlicznych reporterskich podróży po kraju, m. in., co podkreślał, cennych kontaktów humanisty z naukami ścisłymi. Pisał wówczas o wrocławskim Instytucie prof. Hirszfelda i o Politechnice Gdańskiej; szeroko relacjonował odkrycia archeologów. Z tegoż tworzywa powstały książki: „Świt słowiańskiego jutra", „Opowieści o żywej materii", „Zakotwiczeni", „Archeologia na wyrywki".

W roku 1957 powrócił już ostatecznie do problematyki historycznej. Ucieleśniło się to w esejach: „Dwie drogi" i „Myśli o dawnej Polsce" (1960), „Słowiański rodowód" (1961), „Tylko o historii" (1962), „Trzej kronikarze" (1964), „Ostatnia z rodu" (1965) oraz w trójczłonowym cyklu — dziele życia: „Polska Piastów" (1960), „Polska Jagiellonów" (1963) i „Rzeczpospolita Obojga Narodów" (cz. I „Srebrny wiek", cz. II „Calamitatis Regnum" — 1967, cz. III „Dzieje agonii" — 1972). Poza ostatnią częścią „Rzeczypospolitej..." również pośmiertnie ukazały się: „Rozważania o wojnie domowej" (1985), „Pamiętnik" (1986 — wyd. podziemne „Solidarności" i 1989 — Wyd. „Znak") oraz „Polska anarchia" (1988).

Mimo sporych nakładów i dwu- a czasem trzykrotnych wznowień, książki Jasienicy — poczynając od „Polski Piastów" — sprzedaje się prawie wyłącznie spod lady, a w bibliotekach formują się kolejki do wypożyczeń. Powojenne pokolenia, karmione w szkołach i na uczelniach historią preparowaną w duchu „jedynie słusznej" ideologii, na bazie prymitywnego ekonomizmu i „dialektycznych" dowolności, dyktowanych doraźnymi potrzebami propagandowymi, historią pełną przemilczeń i zafałszowań, a w efekcie ostatecznym tego wszystkiego — śmiertelnie nudną, łaknęły czegoś zupełnie odmiennego: historii żywej, nieodczłowieczonej, bogatej w realia, ubarwionej anegdotą, pełnej odniesień do chwili obecnej. Takimi właśnie walorami podbił rynek czytelniczy Paweł Jasienica.

Z „Rzeczypospolitej Obojga Narodów":

„Wszelkie ulepszenia wewnętrzne w Rzeczypospolitej były dla jej sąsiadów groźne ze względów społecznych przede wszystkim. [...] Nawet zanarchizowana Rzeczpospolita była magnesem dla uciśnionych, cóż by się działo zaczęło, gdyby zaprowadziła u siebie ład. [...] Od czasu wojny północnej Rzeczpospolita i Rosja zaczynały stanowić jak gdyby jeden organizm, a to dlatego, że coraz to bardziej i tu, i tam rozstrzygała prawie o wszystkim jedna i ta sama władza. [...] Absolutyzm nie może żyć pod wspólnym dachem z ustrojem konstytucyjnym. [...] Państwo silne, lecz nie znające i nie uznające wolności, musi ten swój porządek wewnętrzny rozpowszechniać, narzucać".

Otośmy i na przedpolach „eksportu rewolucji" — znaczonego takimi choćby faktami: wymarsz na podbój Euro-

---

JAK POWSTAWAŁY

Dokończenie ze str. 11

przyjął na siebie »Dołęga« oraz Andrzej Witkowski — ps. Jędrek i Ryszard Jaworski — ps. Ryś".

W przesyłkach przychodziły do Lublina głównie — produkowane w Warszawie — gotowe spłonki detonujące (spłonka składała się z miedzianej tulejki, stalowej matrycy, miedzianego kapturka, sproszkowanego na puder trotylu oraz „rtęci piorunującej"). Był to ładunek niezwykle niebezpieczny, mogący w każdej chwili spowodować potężny wybuch. Ale nie tylko z tej strony czyhało niebezpieczeństwo.

Pewnego razu u majstra Józefa Zakrzewskiego, po odbiorze przez niego na dworcu kolejowym „beczki z farbą" (w której podwójnym dnie znajdowało się kilkaset spłonek), pojawił się kolejarz-szantażysta. Wyniuchał on, że w przesyłce jest ukryty „trefny" ładunek i teraz zażądał odpowiedniego okupu.

W pierwszej chwili Józef Zakrzewski chciał szantażystę zastrzelić, słusznie obawiając się, że na jednorazowym wyłudzeniu pieniędzy się nie skończy, że kolejarz może zadenuncjować lub po prostu — wygadać się na temat tego, co wie o „przesyłkach z Warszawy". Na szczęście, pojawił się w warsztacie przy ul. Kotlarskiej major Rybiński i wyprowadził szantażystę.

Prawdopodobnie — dla dobra konspiracyjnej tajemnicy — człowiek ów przypłacił swoją „wyprawę" na Kotlarską życiem...

◆

Porucznik Leon Rembarz, zastępca szefa Oddziału V Komendy Okręgu AK Lublin, człowiek, który podjął się produkcji zapalników do „sidolówek", odpowiadał w Komendzie Okręgu za sprawy telefonii i telegrafii; później — za sprawy radiofonii. Zaś w 1943 r. został dowódcą specjalnego partyzanckiego oddziału radiołączności „Pająk"; doskonale wyposażonego i uzbrojonego, zajmującego się m.in. ochroną działających w terenie konspiracyjnych radiostacji.

Przed wojną pracował Leon Rembarz w wytwórni samolotów Plage-Laśkiewicz w Lublinie; następnie — w wytwórni w Mielcu. Znalazłszy się w początkach okupacji w Lublinie, związał się najpierw z Komendą Obrońców Polski, a kiedy KOP został rozbity, przeszedł do POZ (Polskiej Organizacji Zbrojnej), pracując tam w kontrwywiadzie. Po scaleniu POZ z ZWZ został skierowany na stanowisko zastępcy szefa V Oddziału Sztabu Komendy Okręgu, majora Komarskiego. Żona „Dołęgi", Irena Antoszewska-Rembarzowa („Danuta"), była najpierw w POZ, a następnie przeszła, już w Armii Krajowej, do pracy w organizacji „OPUS" (Centralnej Opieki Podziemnej, organizującej pomoc dla więźniów — członków konspiracji oraz ich rodzin), obejmując stanowisko zastępczyni kierowniczki tej organizacji. „Na co dzień" Irena Rembarzowa prowadziła restaurację przy ul. Bychawskiej 3, gdzie mieścił się jeden z punktów przerzutowych zapalników do „sidolówek", wytwarzanych w warsztacie Józefa Zakrzewskiego przy ul. Kotlarskiej 9.

Leon Rembarz miał w przyszłości tak oto napisać o wstępnej fazie produkcji zapalników w Lublinie (relację tę opublikował po raz pierwszy Zygmunt Mańkowski we wspomnianym już uprzednio artykule):

„Po kilkunastu dniach [po naradzie organizacyjnej na ul. 1 Maja — przyp. M. D.] nadeszła pierwsza przesyłka zawierająca tygle i kokile. Z naszego magazynka, znajdującego się również przy ulicy 1 Maja, pobraliśmy ołów i antymon. Razem z »Rysiem« zabrałem się do odlewania korpusów zapalników w warsztacie znajdującym się w podwórzu przy ulicy 1 Maja 19. Początkowo odlewanie sprawiło nam dość dużo kłopotów, ale wreszcie opanowaliśmy produkcję. Gdy mieliśmy 1200 odlanych korpusów, mogliśmy już opracować instrukcję. Na początku czerwca (1942) otrzymaliśmy rozkaz przekazania osprzętu i metali do warsztatu modelarskiego przy ulicy Kotlarskiej (Józefa Zakrzewskiego) [...] Teraz należało zabrać się do właściwej pracy — uzbrojenia korpusów. Nadszedł dalszy osprzęt — prasy, zaciskacze, miarki, lejki itd. Otrzymaliśmy również dwie beczki z detonatorami i trzy z szedytem [...].

W drugiej połowie czerwca zaczęła się najciekawsza robota. Niespodziewanie trudnym problemem stało się zdobycie butelek po szampanie — chodziło o odpowiednie szkło [składnik masy zapalającej — przyp. M. D.]. Udało się jednak i to. Wtedy zjawił się umówiony chemik. Z głębokich kieszeni zaczął wydobywać moździerz, różne szkła i słoiczki, jakieś torebki, a z teczki — wagę. Z węgla, siarki i saletry przygotowywał proch, a »Jędrek« i ja w moździerzu tłukliśmy »na drobny mak« szkło. Wkrótce mieliśmy 10 słoików prochu, każdy o innych proporcjach składników; później trzeba było mozolnie ustalać, która mieszanina okaże się najlepsza. Potem przyszła kolej na nasze szkło — ważenie, oznaczanie, mieszanie gumy arabskiej, fosforu i szkła. Bardzo ostrożnie, gdyż powstaje z tego masa zapalająca. [...] Mała niedokładność wystarczyłaby, aby masa spowodowała wybuch, o czym zresztą mogliśmy się później przekonać. W końcu czerwca zmontowaliśmy praski i przystąpiliśmy do prasowania ścieżek prochowych".

Pierwsze partie zawleczek wykonały: „Danuta" — żona Leona Rembarza, oraz „Perełka".

Po zdobyciu kilku czerepów przedwojennego granatu obronnego postanowiono przeprowadzić pierwsze próby zapalnika. Odbyły się one w lesie, między wsiami Choiny i Stryjna w powiecie krasnostawskim, w połowie lipca. Próby okazały się udane. Teraz można było rozpocząć „laborowanie" produkowanych korpusów zapalników — na szeroką skalę.

◆

Główna produkcja zapalników do „sidolówek" szła w zakładzie modelarskim Józefa Zakrzewskiego („Ignaca") przy ul. Kotlarskiej. Działały jednak również inne, drobniejsze wytwórnie. W jednej z nich działał Marian Krawczyk („Albatros", „Szybki"). Istniała wytwórnia zapalników przy ul. Wesołej; prasowanie ścieżek prochowych wykonywano w warsztacie mechanicznym Kruka przy ul. 1 Maja; zapalniki wykonywał Tadeusz Chrzanowski, właściciel warsztatu — wytwórni siatek drucianych przy ul. Bazyliańska; elementy zapalników powstawały też na terenie niemieckiej firmy Eickellochman przy ul. Peowiaków (dziś ul. Pstrowskiego). Przy niebezpiecznej fazie montowania zapalników wyróżniała się odwagą robotnica Boguszowa („Łasica").

Korpusy blaszane do granatów — „sidolówek" wykonywano głównie w warsztatach blacharskich Milewskiego oraz Mulaka, a także w warsztacie ślusarsko-mechanicznym inż. Jana Szpringera, na ul. Przy Krzyżu, bocznej ul. Narutowicza. Mieścił się tam też specjalny bunkier do wykonywania prób ze ścieżkami prochowymi.

Jan Szpringer pochodził z Krężnicy Jarej. Przed wojną rodzina Szpringerów przeniosła się do Lublina; tutaj Jan ukończył Gimnazjum im. Batorego, a następnie podjął studia na Politechnice Warszawskiej.

W 1941 r. Szpringerowie zamieszkali przy Krakowskim Przedmieściu 19 w Lublinie (w okresie studiów Jana, matka, siostra i młodszy brat także mieszkali w Warszawie). Także Jan Szpringer (dyplom inżyniera uzyskał dopiero po wojnie) założył najpierw biuro pod nazwą: „Technika i reklama". Następnie, wydzierżawiwszy od niejakiego Sambora duży zakład ślusarsko-mechaniczny na ul. Przy Krzyżu, rozkręcił w nim produkcję różnych wyrobów metalowych. Produkował także, ale o tym wiedzieli tylko bardzo nieliczni jego zwierzchnicy i współpracownicy z Armii Krajowej, korpusy do „sidolówek".

Gdzie natomiast napełniano blaszane korpusy granatów materiałem wy-

PAWEŁ JASIENICA?

(Dokończenie)

py via Polska — 1920, czwarty rozbiór — 1939, wymuszenia jałtańskie — 1945, pacyfikacja Budapesztu — 1956, „bratnia pomoc" dla Czechosłowacji — 1968, tupanie... brwiami (imponujące miał Leonid Iljicz!) na Polskę — 1980/81.

Makabreska o Suworowie:

„Znakomity wojskowy lubił odgrywać malownicze scenki. Podczas rzezi Pragi biegał podobno, trzymając pod pachami dwa indyki, i wołał, że niech one przynajmniej ocaleją".

Z „Rozważań o wojnie domowej":

„W niektórych epokach historii zamiar życia w spokoju staje się programem wywrotowym".

„Wszelki, który miecz bierze, musi się liczyć z tym, że delikwenci sięgną po kłonice".

Jedyną niefałszowaną koniecznością historyczną jest nieustanna naprawa stanu posiadania. Reformowanie nie może się nigdy skończyć, ono stanowi istotę programów, którym warto służyć".

Z „Polskiej anarchii":

„[...] w naszym dziejopisarstwie od dawna funkcjonuje dziwny samograj. Ilekroć zaczyna się konflikt między społeczeństwem a władzą, zawsze winne jest społeczeństwo. A odwrotnie nigdy być nie może? [...] Polacy są narodem przekornym i do rządzenia trudnym. Można się z nimi dogadać i dobrze współpracować, ale chcąc to osiągnąć, trzeba uważać na metody. [...] Metody brutalne i bezprawne nie opłacają się w Polsce".

Z „Pamiętnika":

„Polityczni włodarze utracili miarę nie tylko szkód wyrządzanych ogółowi, więc samym sobie również, ale i własnej śmieszności. Wygody administracyjne, możność nie kontrolowanego przez plebs smakowania władzy i pożywania jej owoców wydają im się dobrem najwyższym. Z tego to powodu literatura spełniać winna funkcje, które Stefan Żeromski w fantastycznej zresztą opowieści przypisał bardom, otaczającym średniowiecznego monarchę: »A pieśń jasnego pana za nogi obłapie, czołem mu bije...«"

Czyli — tłumacząc rzecz na język obowiązujący w roku o w y m — literaci do pióra, opiewać wspaniałości ludowładztwa, doskonale oszczędzającego ludowi fatygi decydowania o czymkolwiek.

Jasienica nie należał do twórców ulegających takim imperatywom. Przeciwnie. Licznymi „nieprawomyślnymi" wystąpieniami upamiętniła się jego działalność w Klubie Krzywego Koła, Pen-Clubie, ZLP. Inwigilowane przez ludzi Resortu, spotkania nieformalne także przysparzały dowodów jego „antysocjalistycznej" postawy. W 1964 r. był wśród sygnatariuszy „Listu 34", w którym twórcy protestowali przeciw samobójczej polityce kulturalnej państwa. Mężnie stawał w obronie szykanowanych pisarzy — m. in. M. Wańkowicza i J. N. Millera.

Najbardziej jednak naraził się „władzy ludowej" w roku 1968. W lutym — protestując przeciw zakazowi „Dziadów" w Teatrze Narodowym; w marcu — broniąc, represjonowanych za żądanie demokratyzacji, studentów. R. Gontarz, jeszcze przed atakiem Gomułki z 19 marca, podsumował to w „Kurierze Polskim" tymi słowami: „Przed laty zagrzewał do zbrodni łupaszkowych zbirów, zaś teraz usiłował pchnąć do walki młodzież". K. Hrabyk w „Żołnierzu Wolności" postąpił jeszcze dalej, pisząc wręcz, iż Jasienica „dopuścił się krwawych mordów i gwałtów..."

Obrzucony inwektywami, pisarz usiłował dochodzić sprawiedliwości na drodze sądowej. Ale skarga z powództwa cywilnego przeciw Władysławowi Gomułce o zniesławienie nie została przez sąd przyjęta z powodu „braku precedensów procesowych, w których pozwanymi byliby przedstawiciele najwyższych organów władzy państwowej".

Niedoszłemu powodowi pozostało, jako jedyna forma obrony, spisanie własnej wersji tych wydarzeń z jego życia, które stały się przedmiotem politycznej manipulacji. I tak 18 kwietnia 1968 r. powstał „Fragment życiorysu", którego urywki cytowałem tu kilkakrotnie. Kopie tego dokumentu rozesłał autor do szeregu osób, na których opinii mu zależało.

Wł. Gomułki wśród adresatów nie było. Czy „odnośne służby" zapewniły mu lekturę „Fragmentu", trudno orzec. Z pewnością natomiast rzecz dotarła do jego rąk w wiele lat później, kiedy to... wydelegował do wdowy po pisarzu przyjaciela (tak się ów towarzysz przedstawił), który prosił o materiały dotyczące udziału Beynara-Jasienicy w konspiracji, motywując to pracą b. przywódcy nad zapisem wspomnień. Jedyne, co wskórał, to właśnie egzemplarz „Fragmentu życiorysu". Czy i jakie znalazło to odbicie w memuarach tow. „Wiesława", przekonamy się po ich ewentualnej publikacji. A może i ówczesny szef MSW, skądinąd wyspecjalizowany w relacjonowaniu k o l o r y s t y k i b o j ó w, gdzieś zanotował dla potomnych, w jakie n a p r a w d ę kolory grano A.D. 1968?...

Smutny paradoks: Jasienica, który tak dużo powiedział nam o Piastach, Jagiellonach, Wazach, Koniecpolskich, Poniatowskich etc., tak mało pozostawił opisów zdarzeń przeżytych osobiście. Spisane u schyłku roku 45, w 10 brulionach, wspomnienia partyzanckie w 1948 r. spalił i „starannie wymieszał popiół". Wiedział, że mogły być najdowolniej wykorzystane przeciw niemu samemu, a jeszcze bardziej — przeciw innym. Skutecznie temu zapobiegł.

W ostatnich miesiącach życia próbował odtworzyć, głównie z pamięci, niektóre epizody swojego życia. Tak powstał szczątkowy „Pamiętnik". Przystępując do pracy nad nim, nie omieszkał wszakże wyrazić obsesyjnej obawy:

„Nie wiem, nikt mi nie może zaręczyć, jaki będzie los tych pokrytych pismem kartek, czemu i komu one posłużą. Mój dom wcale nie jest moją twierdzą. Nie jestem panem szuflady własnego biurka".

Udręczony losem, który Polakowi zgotowali Polacy, zapadł na ziarnicę złośliwą — chorobę wywalaną krańcowymi napięciami nerwowymi. Zmarł 19 sierpnia 1970 r. Jego pogrzeb stał się manifestacją myśli niepodległej. „Wiemy, że twoje dzieło pozostanie trwałe i żywe — mówił nad otwartą mogiłą Jerzy Andrzejewski. — Ale pozostanie również twoja krzywda. Przerosła ciebie samego, stając się krzywdą najcenniejszych wartości narodowych".

◆

Kim zatem był Paweł Jasienica? Najprostsza odpowiedź brzmi: świetnym pisarzem, rzetelnym patriotą, przyjaznym ludziom człowiekiem. Niestety, pisane mu było żyć w czasach, które zbyt często innym przymiotom dawały preferencje.

„SIDOLÓWKI"

buchowym i gdzie łączono je z zapalnikami — do tej pory dokładnie nie wiadomo. Prawdopodobnie istniał tego rodzaju zakład specjalistyczny w jednej z podlubelskich wsi. Być może to właśnie stamtąd przywieziono pewnego razu do lubelskiego szpitala młodego człowieka, poważnie poranionego na skutek wybuchu zapalnika.

◆

Zachowało się sprawozdanie Komendy Okręgu (Lublin) do Komendy Głównej AK z konspiracyjnej produkcji broni, datowane 2 kwietnia 1944 r. (por. Ireneusz Caban, Zygmunt Mańkowski: „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939—1944. Część druga — Dokumenty", str. 256), ukazujące, jak szeroki zakres przyjęła w Lublinie produkcja „zapałek" (zapalników), „puszek" (korpusów „sidolówek"), „kolców" (kolców do przebijania opon samochodowych) oraz „polewaczek" (butelek zapalających lub tzw. miotaczy płomieni). Nadawcą pisma jest „Len" (taki kryptonim nosiła Komenda Okręgu lubelskiego AK). Na dokumencie widnieje adnotacja, że Warszawa otrzymała go 4 kwietnia.

„Len"
L. 652/289/IV
2.IV.1944

Przedstawiam sprawozdanie produkcji:

1. ZAPAŁKI

Wykonano	17 250 szt.
Pozostaje do wykonania	1 800 „
Razem:	19 050 szt.

Więcej wykonać nie można, gdyż z ilości przydzielonych spłonek około 850 szt. zostało zniszczonych w związku z wsypą, zaś około 250 sztuk — wskutek eksplozji podczas pracy.

2. PUSZKI

Wykonano	16 900 szt.

Na tym produkcję zakończono, gdyż z ilości 19 050 szt. zapałek — 720 szt. zostało zużyte bez puszek, zaś 1850 szt. stracone z powodu wsypy, wskutek czego dla skompletowania jabłek pozostało tylko 16 480 szt. zapałek.

3. KOLCE

Wykonano około	244 000 szt.

Z posiadanego zapasu materiału może być wykonane jeszcze około 40 000 sztuk.

4. POLEWACZKI

Nie produkuje się z powodu braku butli i zaworów.

Z powyższych ilości przekazano do oddziałów:

zapałek	6 020 szt.
puszek	7 250 „
kolców	160 000 „

Zapas mąki [materiału wybuchowego — przyp. M. D.] do napełniania puszek wynosi tylko 250 kg. [...]

Edward".

„Edward", który sygnował powyższy dokument, to płk. Kazimierz Tumidajski („Marcin", „Edward"), komendant lubelskiego Okręgu AK.

◆

Tak wyglądała sytuacja na początku kwietnia 1944 r. W następnych miesiącach — jak wynika z oświadczeń osób związanych z lubelską konspiracyjną fabryką broni — produkcja zapalników do „sidolówek" szła pełną parą. Leśne oddziały stale domagały się dostaw granatów.

I tak było aż do początku trzeciej dekady lipca 1944 r., do dnia wyzwolenia Lublina...

(Koniec docinka 4. — dokończenie nastąpi)

Mirosław Derecki



W 41 numerze „Słowa Podlasia" (12 X 1989) na str 8 ukazało się powyższe zdjęcie — lekko przykadrowane górą i po bokach — jako dzieło A. Trochimiuka (nie mylić z senatorem M. Trochimiukiem, patrz „Relacje" nr 44). Na pierwszy rzut oka zdjęcie wydawało nam się jakby „Stępniowe". Przy bliższym badaniu okazało się, iż faktycznie — autorem jest Waldemar Stępień (patrz archiwum LWP, nr filmu — 21134, nr klatki — 4).

BYŁ TAKI POMNIK W WARSZAWIE



Młodzieńcze, co wahasz się, jak żyć!
Nie namyślając się, wzór ci podam bliski.
Pamiętaj i nie zapomnij o tym —
Żyj, jak żył towarzysz Dzierżyński.

(WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI)

Oczywiście, że najlepiej byłoby żyć tak, jak żył Feliks Dzierżyński. W ogóle trzeba nie zapominać ani na chwilę, że nigdzie nie żyje się tak dobrze jak na koszt klasy robotniczej.

(MAREK HŁASKO)

Fot. Mieczysław Wójtowicz

JEST TAKA TABLICA W LUBLINIE...



„Senat akademicki i młodzież Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej twórcom i fundatorom Uniwersytetu, Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego, Prezydentowi R.P. Bolesławowi Bierutowi, synowi Ziemi Lubelskiej w dowód wdzięczności 23 X 1944 — 23 X 1949".

Fot. Waldemar Stępień

HEROSTRATES Z ALEKSANDRII

W SOBOTĘ w telewizyjnym programie dla dzieci i młodzieży „5—10—15" red. Zygmunt Kałużyński dyskutował z warszawskimi licealistami na temat kariery. Poglądów nie uzgodniono, lecz być może pan Zygmunt sam zrobi karierę jako twórca... nowej historii starożytnej. Z przedziwnym uporem utrzymywał on, że Herostrates spalił dla sławy... Bibliotekę Aleksandryjską. Ja, podobnie jak młoda licealistka, byłem przekonany, że antyczny piroman zamachnął się na świątynię Artemidy w Efezie, jeden z cudów świata starożytnego, toteż zdumienie lekko zaokrągliło mi oczy. Sprawdziłem. Szalony czyn szewca z Efezu miał miejsce w 356 roku p.n.e.; barbarzyńskiego zniszczenia najsłynniejszej starożytnej książnicy dokonali Bruchejon w 47 r. p.n.e. i Serapejon w 391 r. Za Herostrata Aleksandria jeszcze nie istniała! Oj, nieładnie, panie Zygmuncie, zbijać z pantałyku młode panienki. A może masakra z „Pancernika Potiomkin" miała miejsce nie na schodach odeskich, tylko na tych ruchomych przy Trasie W-Z? Takie czasy, że człowiek już nie wie, czego się trzymać...

wil

Urząd Miejski w Biłgoraju Wydział Geodezji, Gospodarki Gruntami i Rolnictwa ogłasza po raz pierwszy przetarg nieograniczony na sprzedaż i uprzątnięcie z placu następujących składników budowlanych znajdujących się przy ul. Kościuszki 123 i 125:

1. **Budynek mieszkalny drewniany otynkowany, weranda, 2 komórki gospodarcze, ubikacja, studnia, ogrodzenie metalowe — była własność Ob. Lucyny i Władysława małż. Kołodziej. Cena wywoławcza — 534227,— zł.**
2. **Budynek mieszkalny drewniany otynkowany, weranda, szambo, chodnik z płytek, szopa drewniana, ogrodzenie metalowe — była własność S-ców Heleny i Bolesława małż. Kazaneckich. Cena wywoławcza — 376119,— zł.**

Przetarg odbędzie się dnia 11 grudnia 1989 roku o godz. 10.00 w Urzędzie Miejskim w Biłgoraju WG,GGiR ul. Kościuszki 87 pokój 19.

Przed przystąpieniem do przetargu oferent obowiązany jest do wpłaty w miejscu przetargu wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku nie dojścia do skutku pierwszego przetargu, drugi przetarg odbędzie się o godz. 12.00 tego samego dnia.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

9792/K

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

TEATR IM. J. OSTERWY: 1—3.12, 5—6.12 godz. 18: „Czego nie widać" Michaela Frayna; reż. Andrzej Zaorski.

TEATR STUDYJNY: 30.11 godz. 19.30, 1—3.12, 6.12 godz. 20 (LDK, Pstrowskiego 12): „Dekameron" G. Boccaccia; reż. Miro Prochazka, scen. Vladimir Cap, chor. Frank Towen. Informacje o biletach tel. 71-19-72, 55-37-63.

JESIEŃ TEATRALNA — WIECZÓR II: 4.12 godz. 19 (LDK, ul. Pstrowskiego 12) „Ławeczka" Aleksandra Gelmana, reż. Jan Wojciech Krzyszczak, wyk.: Grażyna Jakubecka, Jan Wojciech Krzyszczak. Informacje o biletach j.w.

TEATR LALKI I AKTORA: 30.11, 1.12 godz. 10, 12; 3.12 godz. 12; 5—6.12 godz. 10: „Ural Batyr", baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Feleńczak.

TEATR MUZYCZNY: 2—3.12 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza): „Błękitny zamek" Lucy Montgomery. 6.12 godz. 10, 12.30 „Czarodziejski pierścień" L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski.

MUZYKA

W LUBLINIE

FILHARMONIA: 1.12 godz. 19 — koncert kameralny pt. „Przeboje salonów muzycznych" (koncert jubileuszowy z okazji 45-lecia pracy artystycznej Bohdana Giergiela). Wystąpią: Bohdan Giergiel — skrzypce, Corelli Świeca — fortepian. W programie utwory: H. Wieniawskiego, J. Brahmsa, Z. Fibicha, A. Dvorzaka, P. Czajkowskiego, F. Kreislera, C. Chaminade, I. Albeniza, M. de Falli, J. Hubay.

WYSTAWY

W LUBLINIE

MUZEUM IM. J. CZECHOWICZA — wystawa linorytu Stanisława Bałdygi

MUZEUM NA ZAMKU — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939".

GALERIA BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa grafiki Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

GALERIA GRODZKA (ul. Grodzka 5 a) — „Obrazy" — wystawa malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego.

GALERIA TPSP — 1.12 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Jana Popka.

SALON WYSTAWOWY P.P. SZTUKA POLSKA (Krakowskie Przedmieście 62) — wystawa malarstwa Macieja Falkiewicza.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci".

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL (ul. Chopina 27) — wystawa grafiki książkowej Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA UMCS — Muzeum — wystawa pt. „Rewolucja Francuska 1789—1989".

W KAZIMIERZU DOLNYM

GALERIA LETNIA (Rynek 19) — wystawa rzeźby Andrzeja Jocza.

W BIALEJ PODLASKIEJ

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ — wystawa pt. „Tematy muzyczne w malarstwie".

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

GALERIA ES — zbiorowa wystawa malarstwa, grafiki i rysunku studentów Wydziału Grafiki ASP w Warszawie.

W CHEŁMIE

MUZEUM OKRĘGOWE (ul. Kasprzaka 4) — wystawa pt. „Panorama chwały Oręża Polskiego w malarstwie Stanisława Bodesa".

MUZEUM OKRĘGOWE (ul. Lubelska 57) — wystawa pt. „Jaćwież i Litwa w okresie starożytnym i we wczesnym Średniowieczu" (ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie).

W ZAMOŚCIU

NOWA SIEDZIBA MUZEUM OKRĘGOWEGO (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości: wystawa pt. „Zamość — historia renowacji".

BWA — wystawa malarstwa Tadeusza Dominika z Warszawy.

OGŁOSZENIA DROBNE

BIURO pośrednictwa, zamiany mieszkań, kupno — sprzedaż, wynajmu. Lublin tel. 71-86-12. 26552/G-4

KOŻUCHY, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10. 23350/G-10

WYPOŻYCZANIE kaset video. Lublin, Leonarda 18, Klub MPiK, godz. 13—19. 28251/G

Czwartek

30 LISTOPADA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Glina z wyższych sfer" (9) — „Tajemniczy pasażer"
10.20 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim film z serii: „Świat, w którym żyjemy"
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon
17.55 Przed dwutysięcznym rokiem — film dok.
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — magazyn gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Glina z wyższych sfer" (9) — „Tajemniczy pasażer" — serial krym. prod. ang.
21.00 Sport
21.10 Pegaz
21.55 Program public.
22.25 XXVI Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych — Zamość '89: Oksana Kulakowa — recital
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Jutro w programie
23.10—23.40 Język angielski (37)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (7)
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Bliskie spotkania trzeciego stopnia — reportaż Lona Popielarza
19.00 Magazyn „102"
19.30 Zielone kino: „Błotniaki" — film przyr. Joanny Wierzbickiej
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki": Michaił Bułhakow — „Diaboliada"
22.55 Komentarz dnia

Piątek

1 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „W biegu" — film fab. TVP
10.45 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa
17.55 „Druga strona obrazu" — film dok. Ewy Cendrowskiej
18.25 Od A do Z
18.45 Weekend w „Jedynce"
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Wiadomości
20.05 „Goryl, czyli ostatnie zadanie" — film fab. TP. Reż. Janusz Zaorski
21.00 Sport
21.10 Kontrapunkt
21.40 Program muzyczny
22.30 Dt — echa dnia
22.45 Jutro w programie
22.50—0.10 „Czy łatwo być młodym" — film dok. prod. ZSRR

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny ,
18.30 Reportaż
18.45 Kompozytorzy Piwnicy pod Baranami
19.30 Dookoła świata: W Nikaragui
20.00 Tele-9-tka
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Antypodów: „Człowiek kina" — film fab. prod. australijskiej.
23.20 Komentarz dnia

Sobota

2 GRUDNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek" (4) — serial prod. jugosł.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 „Po lat tysiącu" — film dok. Marka Cichowskiego Ludomira Motylskiego
11.25 Azymut
11.55 Laboratorium: Bańka mydlana
12.25 Telewizyjny koncert życzeń
12.55 Szkoła mistrzów: Janusz Zaorski
13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Iwan Gonczarow — „Obomow"
15.05 Filmy o miłości: „Rozwodów nie będzie" — prod. pol.
16.40 Flesz — magazyn muzyczny
17.15 Teleexpress
17.30 Polska walcząca 1939—1945
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwirząt: Poczta ZOO
19.30 Wiadomości
20.05 „Alarm w Table Rock" — western prod. USA
21.40 Sport
22.00 Tydzień w polityce
22.10 Well — program rozrywkowy
23.00 Telegazeta i jutro w programie
23.10—0.40 Kino sensacji: „Dziewczyna z reklamy" — film prod. USA

PROGRAM II

14.00 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.25 „Ordy" — odc. pt. „Fabre" — film animowany prod. japoń.
14.55 Spektrum
15.35 Meandry architektury
15.55 „Andriej Rublow" — film dok.
16.25 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Z batutą i humorem (1) — program muzyczny
17.35 Powrót Steni Kozłowskiej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Sztuka komputerowa — międzynarodowe warsztaty twórcze
20.00 Koncert fortepianowy Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego. Wyk.: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej pod dyr. Michaela Zilma. Solista — Paweł Skrzypek (fortepian)
21.0 Muzyka i polityka: „Czerwone maki"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton" (4) — serial fab. prod. ang.
22.35 Jacek Stwora: Co jest za tym murem? (6)
22.55—23.00 Komentarz dnia

Niedziela

3 GRUDNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Janka" (11) — serial prod. pol.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego: Spotkanie z Richardem Bradshow
11.30 Kraj za miastem
11.55 Teatr dla Dzieci: Mieczysław Abramowicz i Jerzy Stachurski — „Chodzi, chodzi Baj po świecie"
12.35 Telewizyjny koncert życzeń
13.20 Sportowa niedziela
14.05 Morze — magazyn public.
14.25 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat — Chrzest na morzu
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka" (29) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Andrzej Niedoba — „Pakamera"
18.40 Wideo-top
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda
19.30 Wiadomości
20.05 „Tanamera" — odc. 7 — ostatni serialu fab. prod. ang.
21.10 Siedem dni: Świat
21.40 Sport
22.20 Telegazeta
22.25 Premiery po latach: „Początek dekady", „Pamiętamy"
23.15 Jutro w programie

PROGRAM II

9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 „Tanamera" — odc. 7 — ostatni serialu fab. prod. ang.
10.50 Magazyn lotniczy
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: „Złodziej" — film fab. prod. ang. Reż. Neville Graen
13.25 100 pytań do...
14.20 „Polacy" — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: Wędrówki ludów nad Pacyfikiem (5) — serial dok. prod. australijskiej
16.00 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.15 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Goście Daniela Passenta
19.30 Galeria „Dwójki": Antoni Kowalski
20.00 Studio sport
21.00 Życie to jest teatr — śpiewa Jacek Różański
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć" (14) — serial fab. prod. USA
22.45 Akademia wiersza: „Ogłoszenie" Władysława Sebyły
22.50—22.55 Komentarz dnia

Poniedziałek

4 GRUDNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „Sycylia grecka" — film dok. prod. belgijskiej
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody kota Leopolda
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Artur Schnitzler „Anatol". Reż. Bogdan Hussakowski
22.00 Sport
22.10 I like TV, czyli Rosiewicz show
22.40 Dt — echa dnia
23.30 Język francuski (7)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (8)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: W Lubiniu, w Oświęcimiu
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd pkf
18.55 Program publicystyki kulturalnej
19.30 Muzyka i malarstwo polskie w Waszyngtonie
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.40 „Morze białe jst białą plamą" — film dok. prod. ZSRR
21.15 Gawędy Juliusza Lubicz-Lisowskiego
21.30 Panorama dnia
22.00 Biografie: „Rubens — malarz i dyplomata" (3) — film prod. belgijskiej
22.55 Komentarz dnia

Wtorek

5 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Pieniądz" (3 — ostatni) — serial prod. franc.
10.55 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.45 „Cudowna podróż" — serial animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody kocurka Damiana
19.10 Rzeczpospolita samorządna — program public.
19.30 Wiadomości
20.15 „Pieniądz" (3 — ostatni) — film prod. franc.
21.50 Sport
22.00 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S"
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język rosyjski (8)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (38)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna — Z Sanktuarium Matki Boskiej Bogucickiej
18.50 Studio Solidarność
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski
20.00 Non stop kolor: „Człowiek, który zastrzelił Johna Lennona" — film dok. prod. ang.
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii" (9) — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Krótki dzień pracy" — film prod. TVP. Reż. Krzysztof Kieślowski
23.00 Komentarz dnia

Środa

6 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Oni, ona i dzieci" — film obycz. prod. ZSRR
10.40 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Latający holender
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 „W zawieszeniu" — film TVP.
21.40 Sport
21.50 Plus — minus — program public.
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język angielski (8)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (7)
17.25 Program dnia
17.30 A B C — teleturniej językowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Piosenki naszych pokoleń
18.50 Hotel „Zacisze" (8) — serial prod. ang.
19.30 Laos — program dok.
20.00 Sinfonia Varsovia — w nadzwyczajnym koncercie na fundusz premiera T. Mazowieckiego
21.00 Ze wszystkich stron — muzeum ucieczek
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — serial TVP.
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarze dnia

relacje

ADRES REDAKCJI

20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231

TELEFONY

• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE •

ZESPÓŁ
EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSŁAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY) ZBIGNIEW DZIĘCIOŁEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJĄK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEŃ (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO) IZABELLA WLAZŁOWSKA WSPÓŁPRACA MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA GRAFIKA KRZYSZTOF LAMCH KOREKTA BARBARA CABAN MASZYNOPISANIE BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS SEKRETARIAT ANNA WÓJTOWICZ TRANSPORT GRZEGORZ BORZĘCKI

WYDAWCA Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch"

DRUK Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Ogłoszenia przyjmują: redakcja oraz Biuro Ogłoszeń i Reklam. 20-950 Lublin, al. Racławickie 1, tel. 214-23, 200-61 w. 343. Zam. 1662. 20.11.89. B-5.

AD VOCEM

KSIĄŻKI

PRASA doniosła o próbie spalenia książek (podręczników rosyjskiego) podczas młodzieżowego wiecu w Gdańsku. W komentarzach nazwano ten pomysł zbrodnią, przypominając jednocześnie, że już kiedyś książki palono. Chodzi zapewne o najbliższe skojarzenie z czasami hitlerowskimi, kiedy to płonęły książki sprzeczne z ideologią nazistowską bądź to w treści, bądź przez pochodzenie ich autorów.

Dzieje palenia książek są jednak znacznie starsze. Już w starożytnej Grecji los ten miał dotknąć dzieła filozofa Protagorasa, a szczególnie bogate doświadczenia zebrał w tym zakresie antyczny Rzym. Tak np. za Tyberiusza senat uchwalił spalenie książek niejakiego Kremucjusza Kordusa z powodu pozytywnej uwagi o zabójcach Cezara. Książki te jednak zachowały się, bo je ukrywano, a później nawet wydano. „Tym większa zbiera mnie ochota — dodaje opisujący to zdarzenie Tacyt — śmiać się z głupoty tych, którzy sądzą, że dzięki obecnej swej władzy potrafią stłumić także następnych wieków pamięć".

Podobnie Neron wygnał z Italii Fabrycjusza Wejentona, autora prac przeciwko senatorom i kapłanom, oraz nakazał spalić jego księgi. Te były jednak — informuje znów Tacyt — „nadal poszukiwane i czytywane tak długo, póki je z niebezpieczeństwem nabywano; później, kiedy już wolno było je posiadać, poszły w zapomnienie".

Na liście niszczycieli książek jest miejsce również dla cesarza Dioklecjana, który nakazał zniszczyć dzieła chrześcijańskie. Z kolei muzułmański kalif Omar rozkazał w 642 r. spalić wszystkie książki, jakie zachowały się jeszcze w Bibliotece Aleksandryjskiej, jako książki niewiernych. W dziejach prześladowań książek odnotować też należy dzieło średniowiecznej inkwizycji.

Co wynika z tej historii? Przede wszystkim to, że lubi się ona powtarzać i że chyba nikt się jeszcze z niej niczego nie nauczył. No cóż, jak powiada przysłowie z rosyjskich właśnie książek: „Wiek żywi, wiek uczis' — a umri durakom".

Arcus M.

CZY NAJEMY SIĘ KIEDYŚ DO SYTA?

Andrzej W. Pawluczuk

O ROLNICTWIE mówi się ostatnimi czasy dużo, zwłaszcza od tzw. urynkowienia, kiedy w ślad za spuszczonymi ze smyczy cenami półki sklepowe nie zapełniły się bynajmniej żywnością. Mariaż prywatnego producenta (chłopa) z monopolistą, nieruchawą i drogą machiną skupu i przetwórstwa przyniósł jedynie bezkarne windowanie cen. Przypuszczenie, że najlepszym regulatorem polskiej gospodarki będzie swobodny ruch cen, okazało się błędne.

Ceny odpowiadające rzeczywistym kosztom są tylko jednym z warunków uzdrowienia naszej gospodarki. Jednym, ale nie jedynym, tym bardziej że w cenę detaliczną każdego produktu żywnościowego wlicza się w Polsce koszt rozdętej biurokracji, koszt wydłużonego transportu, koszt pospolitego marnotrawstwa i — co w strukturach monopolistycznych zrozumiałe — chęć szybkiego zarobienia dużych pieniędzy.

A więc to nie tylko ceny były chore i nie one decydowały o permanentnym braku żywności w całej historii PRL. Chora była cała gospodarka i dopóki cała gospodarka nie ulegnie zasadniczej restrukturyzacji, na rynku żywnościowym będą pojawiać się nieustanne perturbacje.

Dowodem na to, powiedzmy sobie szczerze: przerażającym, do pokazującym całą patologię rodzimej gospodarki, jest ujawniona niedawno nadprodukcja nabiału i wędlin. Jest to przy tym nadprodukcja nie rzeczywista, ale pozorna, ponieważ jej źródłem nie jest realny dostatek towarów, ale mechanizmy ekonomiczne typowe dla najbardziej drapieżnego i nieludzkiego kapitalizmu z połowy ubiegłego stulecia. Otóż bowiem w sytuacji, gdy ludzi nie było stać na kupno masła po 3800 złotych, serów po 8500 zł i szynki za 23 tysiące złotych, znajdowali się i tacy producenci, którzy nie obniżali cen, lecz niszczyli towar, aby cenę utrzymać.

To nie są wymysły; telewizja pokazała niedawno, jak pieski w warszawskim schronisku karmiono zazieleniałymi szynkami i baleronami. Gdzie indziej w lesie znaleziono kilka ton zepsutej kiełbasy. Jeszcze gdzie indziej zmuszano rolników, pod groźbą wstrzymania skupu mleka, do kupowania masła.

W ślad za tymi informacjami powinny iść następne: kto i jak został za to ukarany, ponieważ w takim kraju jak nasz marnowanie żywności nie jest prywatną sprawą kilku panów, ale kwestią o zasadniczym znaczeniu politycznym, społecznym i moralnym. Ale gdzież tam! Przecież cenę zgniłej kiełbasy wliczy się w koszta następnej partii towaru, pośle do sklepów, za co i tak zapłaci klient, a producent za dobre wyniki ekonomiczne doliczy sobie premię.

Co należy zrobić, aby taki wytwórca albo był eliminowany z rynku, albo zmuszany do tego, by produkować tanio i dobrze? A więc co należy zrobić, aby nastąpiło prawdziwe urynkowienie gospodarki żywnościowej? Bo urynkowienie oznacza nie tylko żywiołowy ruch cen. Ono oznacza także konkurencję, czyli pełny zestaw zachowań gospodarczych, które charakteryzują rynek z jego wszystkimi konsekwencjami dla producenta i dobrodziejstwem dla klienta?

Mówiąc natomiast wprost i językiem zrozumiałym dla przeciętnego klienta sklepu mięsnego czy spożywczego, pytam o to, co należy uczynić, aby w Polsce było pod dostatkiem żywności: dobrej, taniej, ładnie zapakowanej i sprzedawanej w czystych, pachnących sklepach.

Właśnie temu problemowi poświęcone było spotkanie (9 listopada), na które zaproszony zostałem przez Wojewódzką Radę Solidarności Rolników. Ale właściwym powodem tego zebrania były liczne oferty zagranicznych biznesmenów, którzy chcieliby pomóc naszej upadającej gospodarce i zainwestować tu nieco pieniędzy w wytwarzanie żywności. Okazuje się bowiem, że od roku ludzi tych odprawia się u nas z kwitkiem.

To nie jest bajka: ci ludzie do nas przyjeżdżają, zachęceni tym, że tak wygłodzony rynek jak nasz kupi wszystko, a to oznacza przecież, że żadna produkcja nie jest ryzykowna i każdy interes musi się powieść. Ale, po pierwsze, nie ma kto z nimi rozmawiać o konkretach prawnych, po drugie zaś — nikt nie potrafi przedstawić im konkretnej oferty: co mają produkować, gdzie inwestować, za ile i w jakich warunkach.

Na spotkanie przyszli nie tylko rolnicy; zaproszono prawników, prywatnych biznesmenów, urzędników aparatu administracyjnego, wreszcie profesorów lubelskiej Akademii Rolniczej. Co można powiedzieć o tej pierwszej tego rodzaju, pionierskiej inicjatywie gospodarczej?

Przede wszystkim (takie odniosłem wrażenie podczas całej, trzygodzinnej dyskusji) dominowała bezradność i nieumiejętność zrozumienia nowoczesnych sposobów gospodarowania na roli. Rolnictwo nowoczesne, a takie jest w tej chwili w Europie Zachodniej, dawno przestało być manufakturą, stając się wydajnym przemysłem wytwórczym. Jedynymi ograniczeniami, przed którymi stoi tamtejszy producent, są klimat i warunki terenowe. Wszystko inne jest zawsze w zasięgu ręki: energia, łączność, transport, maszyny, środki ochrony, przetwórstwo, kapitały i ludzie do pracy. A to powoduje zupełnie inny od naszego sposób myślenia o gospodarstwie wiejskim. Tam się myśli, aby jak najwięcej zarobić, a nie jak pokonać różnorakie bariery, przed którymi staje codziennie polski chłop.

Przede wszystkim jednak inna jest w Europie struktura rolnictwa. W Polsce przeważają gospodarstwa małe, do 10 hektarów, a więc produkujące mało i drogo. W Polsce cenę żywności ustala zatem producent małorolny i nisko wydajny. On nie musi produkować więcej, aby dobrze żyć. Tam producuje się natomiast więcej niż dany kraj jest w stanie skonsumować. Prawie każde państwo posiada bowiem spore nadwyżki w magazynach i chłodniach. Na zachodzie Europy jest więc żywności w bród, mimo że relatywnie (w porównaniu do innych towarów i usług) jest znacznie tańsza niż w Polsce. Znacznie!

Powiedzmy to od razu: zdrowe ekonomicznie rolnictwo będziemy mieć w Polsce wówczas, gdy żywność stanieje i zmusi rolnika do potanienia kosztów wytwarzania. To trzeba wiedzieć już dzisiaj, aby później nie było lamentów i załamywania rąk. Każdy wysoko rozwinięty kraj, który stanowi przedmiot naszych tęsknot i marzeń, jest jednocześnie krajem bardzo taniej żywności (np. we Francji kilogram szynki jest tańszy niż przeciętna godzina pracy robotnika).

Jak to powinno wyglądać u nas, gdyby istniały takie same proporcje? Otóż przy obecnych cenach żywności miesięczna płaca powinna wynosić około czterech milionów złotych! Taki stosunek cen jest i w naszym kraju nieuchronny i jeżeli gospodarka polska będzie się rozwijać prawidłowo, zapewne nastąpi za jakieś 15—20 lat. Natomiast ci rolnicy, którzy nie zintensyfikują swojej gospodarki, będą musieli odpaść, a ich ziemię przejmą tacy, którzy potrafią produkować dużo i tanio.

Ale wróćmy do naszej narady. Najbardziej cennym głosem w dyskusji było to, co powiedział znakomity praktyk gospodarczy z Lublina, czyli pan Zbigniew Korzeb. Otóż jeżeli chcemy, aby zachodni biznesmen zaczął z nami rozmawiać poważnie, musimy przygotować mu poważną, rzeczową i wyczerpującą ekspertyzę warunków ekonomiczno-geograficznych terenu, na który chcemy przyciągnąć inwestora. A więc powinny powstać setki (jeżeli nie tysiące) bardzo szczegółowych map gospodarczych z komentarzami, opisującymi Lubelszczyznę i tutejsze warunki do gospodarstwa wiejskiego. To jest warunek, bez którego nie mamy co zasiadać do rozmów.

Odniosłem wrażenie, iż nie wszyscy uczestnicy spotkania zostali w tej mierze przekonani, chociaż powołano taki zespół (pod kierunkiem profesora Czesława Szajera z Akademii Rolniczej) i nie słychać było sprzeciwów. Ale cóż, my, Polacy, pracujemy jeszcze inaczej, gospodarujemy metodami ubiegłowiecznymi. I — prawdę mówiąc — od krajów Europy Zachodniej dzieli nas prawdziwa epoka.

„WIELE MOŻNA NA TYM ZAROBIĆ?"

Leszek Wiśniewski

ILE może być sklepów i innych lokali użytkowych w remoncie na stupięćdziesięciometrowej przestrzeni od Bramy Krakowskiej po ulicę Kapucyńską (pardon: Ostrowy). Zaproponowałem ten mini-konkurs znajomym i nikt nie wygrał. D z i e w i ę ć. Dziewięć lokali od frontu na pryncypalnej ulicy miasta w okresie, w którym w normalnych krajach zaczyna się przedświąteczny ruch. Wśród tych zaciemnionych na biało witryn są takie szacowne firmy, jak sklep jubilerski Kalickiego, skład Mincla (potem tzw. Cora) oraz renomowana przedwojenna restauracja „Roxy", późniejsza „Polonia". Te ostatnią remontuje się, chwalić Boga, coś koło trzech albo czterech lat. I fajno jest.

Dlaczego remontuje się tak długo, tyle sklepów, przy takim ciągu handlowym? Bez wątpienia dlatego, że się nie opłaca handlować. No, tak. Wszędzie w normalnym świecie w okresie listopad — grudzień handel robi 40 procent obrotów, uruchamia się okazyjne wyprzedaże, specjalne kiermasze, superwitryny itp., itd. U nas po prostu się spokojnie remontuje. Ba, przed pół wiekiem na tymże rynsztokowo-brukowanym Krakowskim Przedmieściu kwitł handel i handele. Wdzięczyły się do klienta wymyślnymi wystawami składy Meinla, Wedla, Magierskiego, Bata, cukiernie Semadeniego i Rutkowskiego. „Jak pan mówi — remont? A wiele można na tym zarobić?" — zapytałby na przykład przedwojenny właściciel składu bławatnego Mieczysław Goldcweig.

Jeżeli na małej przestrzeni handlowego (?) centrum miasta wyłączonych jest dziewięć lokali, łatwo mogę sobie wyobrazić, ile jest ich w całym Lublinie. Sto, sto pięćdziesiąt i pewnie nie pomylę się specjalnie. Tymczasem w Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego leży około 360 podań o adaptacje... piwnic na działalność handlową i usługową. Od początku roku wydano 26 zezwoleń. I ludzie kują, wynoszą tony gruzu, cementują, przekładają kable telefoniczne, zakładają instalacje. Przede wszystkim zaś — wydają pieniądze. I o dziwo, opłaca się. Opłaca się wyłożyć parę milionów na zejście do handlowego podziemia jednym, nie opłaca się handlować i prowadzić knajpy w najbardziej ruchliwych punktach miasta innym. Ot, paradoks.

Obserwuję jakąś odmianę handlowej schizofrenii. Ci, którzy doprowadzili do upadku handel i usługi, nadal dysponują lokalami, przywilejami, dostępem do decyzji, ogólnie — monopolem. Ci, którzy mają pieniądze, pomysły, inicjatywę i chęci, są spychani do piwnic i oficyn. Żeby nie być gołosłownym — dwa przykłady.

Swego czasu, jako ajent LSS, uczestniczyłem w zebraniu, jak zwykle poświęconemu podnoszeniu odpłatności. Poinformowano nas, że przewiduje się przekazywanie w ajencję kolejnych lokali. Zaoferowałem wówczas chęć przejęcia całego „Familijnego". „O nie, »Familijny« nie" — zaprotestował wówczas, sympatyczny skądinąd, prezes. Po czym na parterze tego firmowego magazynu LSS uruchomiono „Peweks". A jakaż to była wielka feta przy otwarciu, ileż uroczystych zapewnień, jakie cuda obiecywano. Też sposób — zamienić na „Peweksy", tylko co będzie przy wymienialności złotówki?

Przykład drugi. W trakcie towarzyskiej pogawędki w gronie ludzi interesu rzuciłem pomysł, by kompletnie wówczas wymieciony z towarów „Pedet" (DT „Centrum"), wraz z urzędniczym trzecim piętrem, wystawić na aukcję. Każdy prywatny lub innosektorowy handlowiec mógłby za tęgą opłatą wydzierżawić sobie część powierzchni handlowej i uruchomić własną sprzedaż, pod własnym znakiem firmowym. „Część?" — zapytał wówczas znany potentat kosmetyczny — a dlaczego część? Ja wynająłbym całość!". Więc nie zasłaniajmy się tym, że brak kapitałów, że niepożądany społecznie profil handlu itd. Może niech wreszcie osądza to rynek, a ludzie głosują pieniędzmi. Dlaczego o półkach i witrynach decydować mają nadal układy i zarękawki?

W śródmieściu Lublina było przed wojną więcej sklepów niż obecnie. To nic, że często były to klitki, a oranżadę i chleb wożono furmankami. Ale były zawsze! Dlaczego mam być skazany na obsługę znudzonych panienek, ogryzających paznokcie, i na monopolistyczne szyldy z szarzyzną we wnętrzu i na zewnątrz? Dlaczego Krakowskie ma być zamalowane na biało?

Mam już dość gadaniny o tym, że w Lublinie występują „określone trudności lokalowe". Szlag mnie trafia, gdy dziewięć doskonałych lokali zamyka się i usprawiedliwia remontami. Niechże w takim razie remontuje kto inny, bo zrobi to szybciej i taniej. Trzeba to wystawić na otwarty przetarg. Wtedy zobaczymy, czy coś się opłaca, czy nie. I kto powinien zejść do podziemia.